DZIŚ W NUMERZE:
KORONACJA BOKASSY ■ MIŁOŚĆ I MEDYCYNA ■ GRAJ CYGANIE ■ WIERSZE JANA HUSZCZY ■ JERZY URBANKIEWICZ O STAREJ ŁODZI

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XXI NR 7 (1053)
12 LUTEGO 1978 R.
CENA 3 ZŁ

Foto: W. Parys

MIĘDZY DECYZJĄ A PRAKTYKĄ

Z sekretarzem KŁ PZPR – TADEUSZEM CZECHOWICZEM rozmawia Lucjusz Włodkowski

Co robić i jak robić, aby w sklepach było więcej atrakcyjnych, poszukiwanych i nowoczesnych towarów? Zastanawiano się nad tym na posiedzeniach Konferencji Samorządów Robotniczych w grudniu 1977 roku i styczniu 1978 roku. Jak pełniej wykorzystać posiadany potencjał produkcyjny, nowoczesny park maszynowy, nowe technologie, importowane i krajowe surowce, aby produkowane towary nie zalegały w magazynach, a trafiały do klienta? Odpowiedzi na to pytanie również szukano podczas obrad KSR. Czy je znaleziono? Czego my, klienci możemy spodziewać się w 1978 roku od przemysłu? Jaki był wynik obrad KSR w województwie miejskim łódzkim? Poprosiliśmy o odpowiedź na te pytania sekretarza KŁ PZPR – TADEUSZA CZECHOWICZA.

Dalszy ciąg na str. 3

JERZY WAWRZAK

NOTATNIK RUMUŃSKI

Tytuł jest tu całkiem adekwatny do treści. Uwagi, refleksje, garść informacji — żadnych pretensji do uogólnień. Po prostu zostaliśmy wraz z Danutą Bieńkowską, jako członkowie ZG ZLP, wydelegowani do Bukaresztu celem podpisania umowy o współpracy między ZLP a Związkiem Pisarzy Rumunii na lata 1978—1980.

Rumunię pierwszy raz odwiedziłem trzy lata temu. Było to jednak tylko urlopowe wylegiwanie się na plaży w Mangalii, niedzielna wycieczka do Constancy i nic więcej. Należało napisać przynajmniej o turystyce, o zagospodarowanej z imponującym rozmachem czarnomorskiej Rivierze, ale jakoś nie wyszło.

UMOWA I PORÓWNANIA

Porównania, nie znając dobrze wszystkich uwarunkowań, są zwykle zwodnicze, lecz nieuniknione. Związek Pisarzy Rumuńskich liczy ponad 1100 członków, a więc, biorąc proporcje ludnościowe (20 i 35 milionów), jest większy niż ZLP. A także ma nieco odmienną organizację wewnętrzną. I co tu ukrywać jest... bogatszy. ZPR posiada kilka własnych wydawnictw literatury pięknej, 10 czasopism społeczno-kulturalnych, 5 domów pracy twórczej, rozbudowany aparat administracyjny w centrali i oddziałach terenowych. Jednak, podobnie, jak u nas, większość członków związku mieszka w stolicy. I mimo wysokich honorariów za książki, bo 2000 do 4000 lei za arkusz wydawniczy, tylko nieliczni nie pracują etatowo. Z podobieństw dochodzą jeszcze trudności papierowe, ale jest to już dolegliwość występująca nie tylko w naszych krajach, ale w całej Europie.

Te wszystkie sprawy porządkujemy sobie na marginesie wstępnej dyskusji o umowie. Przy kawie (bo tutaj „herbatę piją tylko chorzy", jak ktoś słusznie zauważył), a następnie obiedzie w secesyjnym pałacyku Zarządu Głównego poznajemy dalsze szczegóły. Właściwie to tylko ja zaspokajam swoją, wcale nie bezinteresowną ciekawość — rozmawiamy przecież na niecałe 3 miesiące przed naszym Zjazdem ZLP. Moja koleżanka, **Danuta Bieńkowska**, czuje się tu, jak w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu. Kiedy w samolocie zapytałem ją, który raz leci do Rumunii, nie potrafiła mi odpowiedzieć. I nic dziwnego, jak na absolwentkę medycyny bukareszteńskiego uniwersytetu, zasłużoną translatorkę rumuńskiej prozy na język polski (m. in. **Barbu, Calinescu, Greangi**), a także autorkę prac eseistycznych o literaturze i kilku własnych książek (m. in. „Michał Waleczny") o historii i dniu dzisiejszym Rumunii. Wobec jej kompetencji pozostaje mi tylko rola „osoby towarzyszącej", na który to status chętnie przystaję. Oczywiście, jest to przewrotność. Wykorzystuję m. in. okazję, by doprowadzić „Odgłosy" do umowy o współpracy z dwutygodnikiem literackim w Jassach. Kto może także przewidzieć, co się w przyszłości przyda?

Nie trzymając się chronologii, dwa słowa o podpisaniu umowy, a raczej towarzyszącej tej uroczystości atmosferze. Zwykłą dbałość o formy podbija żywe zainteresowanie i serdeczność. W sali recepcyjnej ZPR duże grono pisarzy rumuńskich, przemówienia i toasty, kamery telewizyjne, wyrażanie nadziei, że przyszłość przyniesie pożyteczny dla obu stron dalszy rozwój kontaktów kulturalnych. Mówi o tym i Danuta Bieńkowska i wiceprezes Zarządu Głównego ZPR, Laurenciu Fulga. (Notabene przy okazji „usprawiedliwia" **prezesa związku, George Macovescu**, który przebywa w Szwecji z racji swych obowiązków państwowych ministra spraw zagranicznych Socjalistycznej Republiki Rumunii).

Podczas obiadu w eleganckiej restauracji „Mignon" nie tylko degustacja rumuńskiej kuchni, ale dalszy ciąg rozmów o literaturze, o sztuce w ogóle, o międzynarodowych kontaktach i własnych doświadczeniach. Mówią: **Ion Habana, sekretarz d/s zagranicznych, poeta, Radu Boureance, Nina Cassian**, której profesję trudno określić. Żartujemy, że jest przykładem niesprawiedliwości boskiej, czasami zbyt hojnej dla jednego człowieka: Cassian jest nie tylko wybitną poetką o międzynarodowej pozycji, ale odnosi autentyczne sukcesy w innych dziedzinach sztuki: malarstwie, muzyce, filmie. Ani próbuję się nad takim fenomenem zastanawiać, bo po co? Talentu natury racjonalnie nie rozszyfrujesz.

PRZEKŁADY I ZOBOWIĄZANIA

Umowa między związkami pisarzy jest częścią składową funkcjonującej od lat i okresowo odnawianej umowy o współpracy kulturalnej między rządami Polski i Rumunii. Jest to znacznie szersze zagadnienie i nie chcę go tutaj rozwijać. Wspomnę tylko o niektórych jej aspektach, dotyczącej raczej przyszłości. Radca kulturalny naszej ambasady w Bukareszcie, **Jerzy Tomalak**, poinformował nas o decyzji powołania w obu stolicach ośrodków kultury, już w przyszłym roku. Już, bo rozmowy na ten temat mają swoją historię. W praktycznych kontaktach na co dzień we wzajemnym poznaniu twórców i dorobku kulturalnego bratnich krajów — roli takich ośrodków nie sposób przecenić. (Potwierdza to także moje osobiste doświadczenie sprzed 2 lat, kiedy miałem okazję zapoznać się dość dokładnie z pracą Ośrodka Kultury Polskiej w Berlinie).

Wracając do literatury. Moi kompetentni informatorzy twierdzą, że wieloletnia współpraca na tym polu jest owocna. Znamy w dość pełnym, szerokim zakresie swoją klasykę i jest to rzecz bardzo cenna, fundamentalna. Gorzej jednak znacznie przedstawia się sytuacja w zakresie recepcji literatury współczesnej.

Nasi wydawcy są bardziej operatywni. Świadczą o tym publikacje „Historii literatury rumuńskiej" (PWN), „Słownika Pisarzy Rumuńskich", słownika polsko-rumuńskiego, antologii poetyckich prac etnograficznych i historycznych. Możemy się też wylegitymować wieloma przekładami z najnowszych książek poetyckich i prozatorskich literatury rumuńskiej.

Dalszy ciąg na str. 5

OGNIWO KULTURY

Ziemia piotrkowska przez wieki była związana z postępową myślą humanistyczną, a żyjący tu lub stąd wywodzący się ludzie wnieśli znaczny wkład w rozwój kultury i nauki kraju. Wystarczy wspomnieć nazwiska Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Reymonta, Paska, Prusa, Konopnickiej, Asnyka, Orzeszkowej i wielu innych. Tacy antenaci zobowiązują.

Władze polityczne i administracyjne województwa przywiązują wielką wagę do tych chlubnych tradycji, rozwijając jednocześnie pracę nad tworzeniem nowych wartości kultury socjalistycznej.

Wśród licznych placówek, instytucji kulturalnych, związków i zrzeszeń, tworzących zwartą całość w procesie kształtowania nowego modelu kultury, znajduje się oddział Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza.

Powstało ono dziesięć lat temu z inspiracji zasłużonych dla Piotrkowa działaczy naukowych i społecznych: doc. dra Michała Fidelusa i Mieczysława Strychalskiego. W tamtych czasach istniało tu Studium Nauczycielskie oraz prężne środowisko polonistyczne, które odczuwało potrzebę utrzymywania kontaktów z wyższymi uczelniami, a także nie chciało zerwać z nauką i badaniami naukowymi. A tę szansę stwarzało istniejące w kraju Towarzystwo im. Adama Mickiewicza. Jest niewątpliwą zasługą doc. Fidelusa, że z trudem rozpoczęty zamiar, doprowadził do końca i dziś towarzystwo może poszczycić się poważnym dorobkiem w popularyzacji wiedzy polonistycznej i literaturoznawczej. Duży wkład w dzieło rozwoju towarzystwa wniosła „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej", patronując od samego początku licznym akcjom odczytowym, a od dwóch lat udostępniając na ten cel salę klubu „U Dziennikarzy".

Gdyby prześledzić historię Oddziału Towarzystwa im. A. Mickiewicza w Piotrkowie Trybunalskim, choćby tylko na podstawie zapisu tematycznego prelekcji — okaże się, iż niemal każdy z tematów stanowił swoisty wykład naukowy, na który zjawiali się licznie poloniści, działacze Związku Nauczycielstwa Polskiego, działacze kulturalni, a także przedstawiciele innych dziedzin nauki. Dla przykładu przytoczę kilka nazwisk prelegentów: profesorowie Eugeniusz Sawrymowicz, Zdzisław Libera, Julian Krzyżanowski, Henryk Markiewicz, Artur Hutnikiewicz, Kazimierz Wyka, Jerzy Starnawski, Tadeusz Bujnicki oraz doc. dr Helena Karwacka i Michał Fidelus. (Ten ostatni w ciągu swojej społecznej działalności w towarzystwie wygłosił ponad 100 odczytów o problemach kultury, które uzyskały wysoką ocenę środowiska naukowego). Dotychczasowe kolejne sesje, a było ich już 90,' były poświęcone m. in. Rejowi, Mickiewiczowi, Wyspiańskiemu, Conradowi, Irzykowskiemu, Boyowi-Żeleńskiemu, Reymontowi, Przybosiowi, Szenwaldowi, Broniewskiemu, Iwaszkiewiczowi i Fryczowi Modrzewskiemu.

Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza jest zrzeszeniem integrującym ludzi nauki i miłośników naszej rodzimej kultury. Dość dużo o tym mówiono na ostatniej sesji towarzystwa, zwołanej z okazji dziesięciolecia, a wygłoszone dwie prelekcje stanowiły ciekawy przyczynek do naszej historii. Henryk Rutkowski mówił na temat dziejów Trybunału Koronnego, a dr Mirosław Korolko o Andrzeju Fryczu Modrzewskim. Prelegent polemizował z dotychczasowymi badaniami twórczości tego, bodaj najsłynniejszego, Polaka w XVI-wiecznej Europie. Nasza dzisiejsza wiedza ciągle ogranicza się do „Rozważań o naprawie Rzeczypospolitej", choć dzieło Frycza Modrzewskiego daleko wychodzi poza skąpe wzmianki z podręczników historii literatury. Być może książka dr Korolko poświęcona temu myślicielowi — humaniście, dyskryminowanemu za jego poglądy tak za życia, jak i po śmierci, przybliży sylwetkę tego wybitnego Polaka.

Oto, co mówią działacze partyjni i kulturalni o miejscu i znaczeniu piotrkowskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza.

Witold Chmielewski, z-ca kierownika Wydz. Pracy Ideowo-Wychowawczej KW PZPR: — Komitet Wojewódzki PZPR wiąże z dalszym rozwojem piotrkowskiego oddziału Towarzystwa im. A. Mickiewicza, nadzieje na intensyfikację literackiego środowiska twórczego, na mecenat roztoczony wokół bibliotek, czytelni, czy też klubów zakładowych. Widzimy w towarzystwie pożądanego sojusznika, gotowego nieść pomoc w trudnej, bądź co bądź pracy ustawicznego podnoszenia kultury społeczeństwa.

Antoni Sokalski, prezydent miasta Piotrkowa: — Funkcja miasta będzie prawidłowa wówczas, gdy równolegle następować będzie rozwój zainteresowań pozamaterialnych jego społeczeństwa, m. in. takich, jakie upowszechnia i propaguje oddział Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza.

Jerzy Kisson-Jaszczyński, red. nacz. „Gazety Ziemi Piotrkowskiej": — Dla nas jest partnerem w propagowaniu najcenniejszych skarbów naszej myśli humanistycznej, a dla miasta jest jednym z czynników integrujących środowisko polonistyczne.

Rafał Orlewski, literat: — Towarzystwo dziś, jak i dawniej, jest forum, na którym mogą spotykać się nauczyciele — poloniści i miłośnicy literatury pięknej, pozbawieni przecież codziennych kontaktów z wybitnymi znawcami literatury polskiej. Jednakże mam żal, że dotąd towarzystwo nie nawiązało współpracy z dzisiejszymi pisarzami województwa piotrkowskiego. Należałoby także podyskutować czy oddział piotrkowski ma nadal zajmować się wyłącznie popularyzacją naukowych osiągnięć dotyczących literatury dawniejszej. Na opracowanie czeka dorobek literacki województwa z okresu międzywojennego.

Sądzę, że te wypowiedzi są zarówno oceną, jak też i postulatami na przyszłość.

EUGENIUSZ IWANICKI

CZY TO NAPRAWDĘ „GRANICA"?

Adaptacje literatury zawsze budzą żywe zainteresowanie, adaptacje klasyki podnoszą jeszcze temperaturę oczekiwań i ocen, a w niczym nie pomniejsza tych reakcji fakt, że w kinie polskim tego typu premiery są jego dniem powszednim. Może właśnie dlatego, że wiele znakomitych dokonań polskiego filmu pozostaje w tak ścisłym związku z tradycją literacką, czekamy na te premiery jako na wydarzenia w życiu kulturalnym. Tym bardziej też gorzkie wydają się rozczarowania. Film oparty na scenariuszu oryginalnym niesie w sobie element niespodzianki, ale gdy się nie uda, łatwiej nad tym przejść do porządku dziennego. Powszechnie znana, zawyczaj wielka lub tylko dobra literatura zobowiązuje zakładu pewien próg wartości, poniżej którego zbyt nisko zejść nie można.

Najnowszą premierą polskiego kina jest znów adaptacja. Tym razem w rękach filmowców znalazła się „Granica" Zofii Nałkowskiej, która scenariuszowo opracował Józef Hen, reżyserował Jan Rybkowski, sfotografował Marek Nowicki. Przypomnijmy że jest to już druga w dziejach naszego kina adaptacja tej powieści — pierwsza miała miejsce w 1938 roku. Jej reżyserem był jeden z najciekawszych filmowych twórców międzywojnia, Józef Lejtes, a główne role kreowali: Elżbieta Barszczewska, Lena Żelichowska i Jerzy Pichelski. Film uznano wówczas za udaną i ambitną adaptację, a ówczesny recenzent filmowy, Jerzy Toeplitz, nazwał go „owocem awangardowej dywersji".

Żal, że słów tych nie można powtórzyć przy nowej filmowej wersji „Granicy" żal tym bardziej, że doświadczenia adaptacyjne polskiego kina przedwojennego i kina współczesnego dzieli przecież przepaść. Przykro słowa te formułować tym bardziej, że twórczość filmowa Jana Rybkowskiego wypełnia duży w dziejach naszego kina rozdział. Nie wydaje mi się jednak, by reżyser ten miał szczęśliwą rękę właśnie do adaptacji. Ogromny trud, jaki podjął na przykład przy realizacji „Chłopów" nie przyniósł równoważnych mu efektów. „Chłopi", oglądani w wieloodcinkowej wersji telewizyjnej, zachowali w pewnej mierze walory wielkiej, reymontowskiej epiki, w wersji kinowej stali się już jej niestrawnym ersatzem.

Coś podobnego odnajdujemy także w filmowej „Granicy". Odnosi się wrażenie, że to, co ciągnie Jana Rybkowskiego do literatury zaczyna się i kończy na samej fabule. Reżysera nie interesuje jej nośność, głębie i znaczenia. W „Chłopach" ratunkiem był opis przyrody, obyczaju, czasem charakterów. W „Granicy" tych szans Jan Rybkowski nie znalazł.

Pozbawiony emocjonalnych akcentów intelektualizm prozy Zofii Nałkowskiej wymaga takiegoż samego wobec niej stosunku a ta właśnie postawa jest rzadkością w kinie, nie tylko zresztą polskim. Przywołanie jedynie takich przykładów, bardzo różnych zresztą autorskich postaw, jak choćby Ingmara Bergmana, Michaiła Romma Krzysztofa Zanussiego wyjaśnia tu intencje piszącej te słowa. Sądzę że próba jakiej podjął się Jan Rybkowski, była z góry skazana na przegraną jako nie odpowiadająca jego artystycznemu temperamentowi.

Zacznijmy od dowodu najprostszego — chwytu kompozycyjnego, którym Rybkowski „poprawił" Nałkowską, niby to samo, poznajemy skutek a w trakcie narracji pragniemy dotrzeć do jego przyczyny. U Nałkowskiej jest to manewr formalny, nowoczesny na etapie ówczesnych doświadczeń literatury (znany od czasów „Obywatela Kane" i w kinie). Służy on jednak głębokiej, bardzo intelektualnej, chłodnej analizie psychologicznej, moralnej i społecznej. U Rybkowskiego wprowadzenie postaci komisarza idącego tropem zbrodni przechyla całą sprawę w stronę kryminalnej sensacji. Inna zabawna „poprawka" — w powieści, jak wiadomo, Zenon Ziembiewicz popełnia samobójstwo, utraciwszy przedtem wzrok na skutek oblania kwasem solnym przez Justynę — podejmuje tę decyzję sam, motywacji możemy się domyślać, lecz nie jest nam ona dana. W filmie ginie zastrzelony przez Bogutównę. Po co? By było kryminalniej, efektowniej? By wyeliminować z prozy Nałkowskiej melodramatyczne wątki? Ależ one przecież w niej są i nikt ich nigdy nie kwestionował, bo wyrastały z innych pokładów intencji pisarki i czemuś innemu służyły.

Odrzucenie przez Rybkowskiego owej intelektualnej przenikliwości autorki pozwalającej w banalne życiorysy wpisać szczególny realizm społeczny a nade wszystko psychologiczny, nieumiejętność przełożenia na grę i znaczenie obrazów słynnych, a tak charakterystycznych dla precyzji słowa Nałkowskiej aforyzmów, sprawiła, że oglądając ów fabularny ersatz odnosimy wrażenie, że uczestniczymy w bardzo starym melodramatycznym filmowym seansie tyle tylko efektownym, że obdarowanym rechami modnego, choć dziś chyba już nie tak bardzo stylu „retro" (ach, te stroje! ach, te wnętrza! ach te tortyl). Dziwi też, że wybrawszy te melodramatyczno-sensacyjną linię w adaptacji „Granicy", rezygnuje on z jej pewnych a istotnych wątków krytyki społecznej, że prześlizgując się po problemie „dramatu władzy", wprowadza Rybkowski do niej takie na przykład akcenty, jak impotencja Justynie w śledztwie zbrodni na tle politycznym. A wydawało się, że błąd, który popełnił Włodzimierz Haupe adaptując „Ludzi bezdomnych", będzie przestrogą nauczką dla innych.

Te niekonsekwencje Jana Rybkowskiego mają też swe ślady w doborze aktorów. Dobry skądinąd aktor, Andrzej Seweryn, mógł grać tylko młodego Ziembiewicza, dorosłemu, sądzę że nie ze swej winy tylko nie sprostał. Tadeuszowi Łomnickiemu trudno „wyłożyć" role. Krystyna Janda, choć może psychofizycznie odległa Elżbiecie, bliska jest chyba jednak, z tego co wiemy, samej Zofii Nałkowskiej i uwieńczyła swą pracę sukcesem. Naprawdę nim jest tylko rola pani Kolichowskiej w interpretacji Zofii Jaroszewskiej. Pozostali aktorzy (same wspaniałe nazwiska) grają marionetki składające się na zbiorowy portret sfer arystokratyczno-mieszczańskich i poza te konwencje reżyser nie pozwolił im wyjść, koncentrując swą uwagę głównie na eksponowaniu scen erotycznych, niestety znów, w polskim wydaniu, dość żałosnych. Zdjęcia Marka Nowickiego konsekwentne w swej plastycznej koncepcji, przystają do tego, co odnalazł w prozie Zofii Nałkowskiej jej kolejny adaptator.

EWA NURCZYŃSKA

POLEMIKI

☆ ★ ☆

W ostatnim numerze „Odgłosów" przeczytałem „Sagę rodu Lutosławskich", napisaną przez Tadeusza Gicgiera. Lektura ta trochę mnie zdumiała. Z paru powodów.

Najpierw kalendarzowych. Autor rozmawiając z panią Marią Lutosławską-Niklewiczową przedstawia nam ją, jako panią w „okolicach osiemdziesiątki", a więc urodzoną tak gdzieś między 1880 a 1895 rokiem. Prawda? I oto okazuje się, że młoda dziewczynka — iloletnia zaledwie? — doskonale pamięta i Przybyszewskiego i jego Dagny, gdy w 1895 roku przyjechali do Hiszpanii, do Wincentego Lutosławskiego. Jak wiemy premiera „Wesela" była w roku 1900. A więc dziewczynka w najlepszym razie miała wówczas dziesięć lat. Dziesięcioletnie dziecko W. Lutosławski zabiera na premierę „Wesela" i teatr ten, dla takiego dziecka przecież zupełnie niepojęty, robi na nim wielkie wrażenie. Chyba przez przerażające niezrozumienie... Ale czy za taką pedagogię należy chwalić prof. Lutosławskiego.

Ale nie kalendarz jest najosobliwszy w owej „Sadze rodu Lutosławskich". To natomiast, iż w „Sadze rodu..." nie ma niczego o rodzie, a o samym Lutosławskim też jest niezmiernie mało. Nie ma o jego osobliwym i długotrwałym wpływie na młodzież — poprzez Eleusis na harcerstwo. Nie ma o jego związkach ideowych i politycznych, które przecież są bardzo ważne dla charakterystyki człowieka tak związanego z ideową stroną życia polskiego, jak Lutosławski. I rodzina Lutosławskich i rodzina Niklewiczów, to dwa rody bardzo silnie związane z polską Endecją. Gdy na naszych ekranach idzie film „Śmierć prezydenta", ukazuje się „Saga rodu Lutosławskich", w której nie ma, ani litery o ks. Kazimierzu Lutosławskim, który — choć zapalony harcerz i jeden z twórców harcerstwa (autor krzyża do dziś będącego odznaką ZHP) był równocześnie najbardziej ponurą postacią naszej międzywojennej historii. On to był jednym z najbardziej agresywnych przeciwników prezydenta Narutowicza, był jednym z najbardziej złowieszczych agitatorów tej agitacji, która skończyła się strzałami w Zachęcie. Jak „Saga rodu...", to saga rodu. Jak mówić się chce nie tylko o profesorze Lutosławskim — to należałoby powiedzieć może o jeszcze innym bracie profesora (jednym był ks. Kazimierz), tym który działał w latach rewolucji w Rosji, jako jeden z najczynniejszych kontrewolucjonistów.

Rodzina Lutosławskich — profesor i jego bracia, profesor i jego rodzina — to bardzo ciekawa rodzina, w której rzeczy ważne, może nawet na swój sposób piękne, mieszają się ze sprawami ciemnymi i podłymi. Rodzina ta odegrała zbyt wielką rolę w historii nowoczesnej polskiej, w historii polskiej kultury i polskiego obyczaju, by zbywać ją paroma tak okrągłymi i tak mało precyzyjnymi zdaniami. Wolno — oczywiście — pisywać felietony na każdy temat i o każdym człowieku. Ale nie należy określać ich, jako „saga rodu...". Nasi czytelnicy nie znają zbyt dobrze historii Polski. Mało kto dziś wie coś więcej o Lutosławskim i o Lutosławskich, gdy więc chce się o nich informować — z szacunku dla tego rodu, należy informować pełnie. To bardzo złe — a niestety częste — obyczaje przemilczania postaw ideowych, gdy się o kimś mówi czy pisze. Wtedy i dzieje i ludzie wychodzą ucukrowani — a takimi nie byli.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

☆ ★ ☆

Zapoznałem się z listem Kazimierza Koźniewskiego w sprawie mej publikacji w „Odgłosach". Lektura tego listu bardzo mnie zdumiała. Z paru powodów.

Zacznę od rzeczy podstawowej. Zdawałoby się — oczywistej. „Saga rodu Lutosławskich" jest tekstem z pogranicza reportażu i opowiadania, i w żadnym razie nie pretenduje do udzielania komukolwiek informacji. Charakter tego tekstu zdecydował, że nazwałem go tak, a nie inaczej, chociaż, przyjmując rozumowanie Kazimierza Koźniewskiego, powinienem był rzecz tę zatytułować, jak następuje: „Niektóre fragmenty sagi rodu Lutosławskich z końca dziewiętnastego i początków dwudziestego wieku". Żałuję bardzo, ale na taki tytuł się nie zdecydowałem.

Mego polemistę ogromnie zaintrygował wiek pani Marii Lutosławskiej-Niklewiczowej, o której napisałem, że jest panią „w okolicach osiemdziesiątki". Prawdopodobnie jest trochę starsza (chwilami zawodzi ją pamięć: ojciec jej zaprosił Przybyszewskich do Hiszpanii nie w 1895, a w 1898 roku, co niniejszym prostuję). Jednak tradycja, w której zostałem wychowany, nakazuje mi nie zaglądać kobietom w metrykę. Tymczasem Kazimierz Koźniewski domaga się ode mnie dokładnego określenia lat seniorki rodu Lutosławskich. Przykro mi, ale tego nie zrobię.

„Saga rodu Lutosławskich", to przecież nic innego, jak wspomnienie córki o ojcu, w którym to wspomnieniu obok siebie żyje jej pamięć i pamięć rodowa, a także przekazy rodzinne. Po latach nie da się tych spraw rozdzielić, poza tym nie mam przekonania, czy jest to konieczne. Nie można także wymagać od lecącej córki, by osądzała zmarłego ojca politycznie. Zresztą w pewnym stopniu to zrobiła, mówiąc, że: (cytuję) „Ojciec bardzo żywo zajmował się młodzieżą, dbał o jej „kościec moralny", który starał się kształtować na swój sposób" (podkreślenie moje — T. G.).

„Saga rodu Lutosławskich", to także, a może nawet przede wszystkim, rzecz o powiązaniach wiekowego rodu z luminarzami naszej kultury, zaś literatury w szczególności. Powiązaniach, jak to się wyżej rzekło, z końca dziewiętnastego i początków dwudziestego wieku. Natomiast Kazimierz Koźniewski żąda ode mnie, ni stąd ni zowąd, wykazania późniejszych związków tego rodu z polską Endecją i osądu postawy politycznej ks. Kazimierza Lutosławskiego w okresie lat międzywojennych. Zapewniam mego polemistę, że w tej ocenie jesteśmy ze sobą zgodni. Tylko, jak to się zwykło mówić, co ma tu piernik do wiatraka?

Ja o Micińskim i Przybyszewskim, a Kazimierz Koźniewski o księdzu Kazimierzu Lutosławskim. Ja o Kasprowiczu, Wyspiańskim, Reymoncie, a mój polemista o bracie profesora Lutosławskiego — kontrrewolucjoniście. Biję się w piersi: trudno mi będzie się zrozumieć z cenionym skądinąd pisarzem.

TADEUSZ GICGIER

PS.: Tak się złożyło, że w jednym z ostatnich numerów „Literatury" Maria Kuncewiczowa ogłosiła esej o Przybyszewskim, w którym akcentuje patronat Wincentego Lutosławskiego, jak pisze: „młodego, już wówczas cenionego w Europie filozofa" — nad wybitnym choć kontrowersyjnym pisarzem. Ciekawi mnie, czy Kazimierz Koźniewski wystąpił również z polemiką do Redakcji „Literatury"?

T. G.

KUPON

Wypełnione kupony plebiscytowe prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji w kopertach z dopiskiem „Łodzianie 1977".

Tadeusz Chróścielewski . . . . . .
Kazimierz Dębski . . . . . .
Wojciech Drygas . . . . . .
Teresa May—Czyżowska . . . . . .
Waldemar Podgórski . . . . . .
Włodzimierz Saar . . . . . .
Jerzy Samujiło . . . . . .
Lech Sosnowski . . . . . .
Paweł Udorowiecki . . . . . .
Barbara Wójcicka: . . . . . .

Imię i nazwisko . . . . . .
Adres . . . . . .
Zawód . . . . . .

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

Foto: W. Pary

MIĘDZY DECYZJĄ A PRAKTYKĄ

Dalszy ciąg ze str. 1

— W ocenie rezultatów obrad Konferencji Samorządów Robotniczych daje się dostrzec dwie tendencje. Przede wszystkim szukano takich rozwiązań, które pozwalałyby przedsiębiorstwom zwiększyć produkcję na rynek, a przez to wpływać na stabilizację rynku, zmniejszyć deficyt poszukiwanych towarów. I po drugie — szukano takich rozwiązań, które prowadziłyby do racjonalizacji importu i wzrostu eksportu.

— Czy chodzi tu również o import surowców? W przypadku przemysłu lekkiego nie będzie to łatwa sprawa, jako że wiele zakładów produkcyjnych pracuje na surowcach importowanych.

— Oczywiście, ale w miarę możliwości zakłady te będą dążyć do maksymalnego wykorzystywania surowców krajowych. Dążąc jednocześnie do zwiększania eksportu zakłady te tworzą tym samym możliwości kupowania za granicą potrzebnych im surowców. Chodzi tu między innymi o to, żeby sprzedawać zagranicznym kupcom nie tylko dywany, texas czy bieliznę pościelową — towary wszędzie poszukiwane, ale i inne.

— W wyniku modernizacji przemysłu w Łodzi powstał znaczny potencjał produkcyjny, charakteryzujący się wysokimi walorami technicznymi i technologicznymi. Ten potencjał nie jest wszakże do końca wykorzystywany. Czasami na nowoczesnych maszynach i z importowanych surowców wyrabia się towary, które nie znajdują nabywców. Czy na posiedzeniach KSR zajmowano się również i tymi sprawami i z jakim skutkiem?

— Na posiedzeniach KSR szukano sposobów, które zapobiegałyby wytwarzaniu towarów niechodliwych, nietrafionych, zbędnych. Mówiono więc o tym, że cały wysiłek załóg musi być nakierowany na racjonalne wykorzystanie tego wszystkiego, czym one dysponują. Przyjęte programy działania przez KSR wydają się spełniać ten warunek. Wiele mogą zrobić w tej sprawie projektanci i konstruktorzy. Chodzi po prostu o to, aby załogi fabryk produkowały takie towary, których sami poszukują na rynku jako klienci.

— Jaki kierunek działania przyjęły Konferencje Samorządów Robotniczych w przedsiębiorstwach budowlanych?

— W budownictwie zastanawiano się nad tym, jak wykorzystać posiadany potencjał wytwórczy, kwalifikacje pracowników, aby w sposób maksymalny zapewnić realizację programu budownictwa mieszkaniowego oraz tych inwestycji, których produkcja w najbliższym czasie wzbogacać będzie rynek wewnętrzny i eksport. Mówiono również o sposobach maksymalnego realizowania inwestycji przeznaczonych dla budownictwa, jak na przykład fabryka domów stawiana przy ulicy Lodowej czy fabryka domków jednorodzinnych.

— Czy programy uchwalone na posiedzeniach KSR w przemyśle gwarantują pełne pokrycie potrzeb rynku?

— W przemyśle bawełnianym — dla przykładu — w ramach istniejących możliwości surowcowych postanowiono zwiększyć między innymi produkcję poszukiwanych tkanin pościelowych, flanelowych, pieluszkowych. Dzięki tym działaniom klienci powinni odczuć istotną poprawę w zaopatrzeniu rynku. Ale mamy też świadomość, że nie we wszystkich rodzajach wyrobów uda się zbilansować potrzeby rynku, gdyż są one bardzo duże.

— W ubiegłym roku nastąpił w przemyśle województwa miejskiego łódzkiego wzrost produkcji o 9,3 proc. Cały ten wzrost produkcji osiągnięto poprzez wzrost wydajności pracy. I jest to bez wątpienia zjawisko pozytywne. Ale też nie wolno zapominać, że było to możliwe dzięki instalowaniu nowoczesnego parku maszynowego, dzięki dokonywanej modernizacji. Trzeba teraz szukać rezerw w innych dziedzinach: w pełnym wykorzystaniu czasu pracy ludzi i maszyn, w poprawie organizacji pracy, w racjonalnym gospodarowaniu surowcami i materiałami. Czy te kierunki działania znalazły też swoje odbicie w programach przyjętych przez Konferencje Samorządów Robotniczych?

— Rezerw w tych dziedzinach szuka każda fabryka. Na przykład we wszystkich zakładach pracy obserwuje się zmniejszanie zatrudnienia. W wyniku przeglądu stanu zatrudnienia w administracji przesunięto do pracy w innych działach 2.120 osób, co stanowi 4,1 proc. planowanego zatrudnienia w administracji.

— Gdzie skierowano tych ludzi do pracy?

— Około 80 proc. przeszło do pracy w produkcji.

— A pozostałe 20 procent?

— Skierowano do pracy w administracji, ale tam, gdzie w wyniku analizy okazało się, że potrzebne jest wzmocnienie nadzoru i zarządzania.

— Ktoś bardzo słusznie zauważył, że u nas w zasadzie nigdy nie brakuje ludzi do pracy w administracji, a często jest ich więcej niż trzeba. Brakuje natomiast bądź to wysoko kwalifikowanych specjalistów bądź po prostu rzemieślników.

— Tę uwagę potwierdzają dane. Na jednego poszukującego pracy w administracji przypada 0,9 propozycji.

— A na jednego robotnika wykwalifikowanego ile przypada propozycji?

— 20 propozycji. Natomiast na jednego robotnika niewykwalifikowanego poszukującego pracy przypada 6 propozycji.

— Czym można wytłumaczyć przerosty zatrudnienia w administracji?

— Jest to bardzo prosta zależność. Jeśli w przedsiębiorstwie kwalifikacje ludzi pracujących na różnych szczeblach zarządzania są niskie i nie jest najlepiej zorganizowana praca, to mamy do czynienia z przerostami zatrudnienia.

— Podnoszenie kwalifikacji przez ludzi pracujących w administracji stanowi swego rodzaju rezerwę.

— Istotnie. Z drugiej jednak strony trzeba też dążyć do racjonalizacji struktur zarządzania. Nie wolno tolerować takich sytuacji, kiedy kierownik zarządza i kieruje na przykład dwoma lub trzema ludźmi.

— Możliwość kierowania większym zespołem ludzi zależy jednak od kwalifikacji i umiejętności kadry kierowniczej.

— Bez wątpienia. Ale też i struktury zarządzania w wielu przedsiębiorstwach zostały nadmiernie rozbudowane. Będziemy więc dążyli do tego, aby je upraszczać i pomniejszać.

— Czy szkolnictwo dostarcza ludzi tak przygotowanych, aby mogli spełniać te role, które im wyznacza modernizujący się przemysł?

— W zasadzie nie mamy kłopotów z zatrudnieniem absolwentów szkół technicznych średniego i wyższego stopnia. Są kłopoty z zatrudnieniem humanistów. Ale też i przemysł obecnie nie może już zajmować wobec szkolnictwa tylko roli krytykującego. Powinien również troszczyć się o możliwość adaptowania do swoich potrzeb absolwentów kierunków pokrewnych i zbliżonych do jego potrzeb. Trzeba po prostu mieć świadomość, że proces modernizacji przemysłu postępuje szybciej niż proces przeobrażeń w szkolnictwie.

— Nie lekceważyłby wszakże stereotypów i mód, jakie wpływają niekiedy na wybór zawodu przez młodzież. Trudno przecież zaprzeczyć, że w świadomości społecznej ranga urzędniczki przyjmującej podania, stawiającej stempelki czy nawet przysłowiowej panienki z pocztowego okienka bywa wyższa od rangi robotnika, któremu niezbędne są wysokie i specjalistyczne kwalifikacje, aby mógł obsługiwać nowoczesną maszynę.

— To się jednak zmienia. Może jeszcze zbyt powoli, ale zmienia się. Obecnie — dla przykładu — wśród robotników pracujących bezpośrednio w produkcji mamy w województwie znaczną grupę robotników ze średnim zawodowym wykształceniem i więcej niż jedną czwartą z wykształceniem zasadniczym. Nie bez znaczenia jest tu też fakt, że jednak w produkcji można zarobić więcej.

Proces tych przemian dobrze ilustruje zjawisko, które pozornie może nie mieć z tym większego związku. Oto w ruchu wynalazczym jeszcze przed kilku czy kilkunastu laty udział robotników z produkcji był stosunkowo niski. Obecnie w ruchu tym biorą udział, to znaczy zgłaszają projekty wynalazcze i usprawnienia, w 50 proc. ludzie zatrudnieni bezpośrednio w produkcji. Jest to niewątpliwy dowód na rosnącą kulturę techniczną klasy robotniczej.

Przy ocenie tego rodzaju przemian trzeba unikać wszelkich uproszczeń, trzeba doskonale zdawać sobie sprawę ze złożoności procesów społecznych. Na przykład warto pamiętać, że częściej na pracę w produkcji decydują się mężczyźni. Kobiety wolą jednak pracę w biurze.

— A w usługach?

— Tu sprawa wygląda trochę inaczej. Obserwujemy wprawdzie przechodzenie ludzi z innych działów gospodarki do sfery usług, ale jest to zjawisko niewielkie w swoich rozmiarach. W ogóle ludzie idą niechętnie do pracy w usługach. Tu może silniej niż gdzie indziej działają stereotypy. Chociaż i w przemyśle obserwujemy niechęć do niektórych zakładów. Młoda dziewczyna otrzymuje na przykład propozycję pracy w fabryce obuwniczej przy nowoczesnej taśmie, ale rodzice nie zgadzają się na to, twierdząc, że ich córka może pracować wszędzie tylko nie u szewca. A przecież nowoczesna fabryka obuwnicza nie ma już nic wspólnego z tradycyjnym warsztatem szewskim. Ale stereotyp jeszcze działa. Albo inny przykład: która młoda dziewczyna marzy o karierze pracownicy punktu przyjmującego bieliznę? Chociaż wiadomo wszystkim, że każda praca jest potrzebna. Myślę, że w naszej propagandzie trzeba więcej kłaść nacisku na wyrabianie powszechnego przekonania, że każda praca jest równie ważna i potrzebna pod warunkiem, iż jest dobrze wykonywana.

W miarę postępu w mechanizowaniu usług, wyposażania zakładów usługowych w nowoczesny sprzęt, w miarę humanizacji pracy w usługach będzie się również zmieniał stosunek do pracy w tej dziedzinie gospodarki.

— Tym bardziej, że im będziemy posiadali nowocześniejszy przemysł tym bardziej będzie nam potrzeba rozwiniętych usług. A jak do tej pory możemy raczej narzekać na brak równowagi między popytem a podażą usług.

— Mamy pełną świadomość tego stanu rzeczy. Wprawdzie i w tej dziedzinie notuje się pewien postęp, ale jest on jeszcze zbyt powolny. Chciałbym tu jednak powiedzieć, że dla rozwoju usług niezbędny jest nie tylko wzrost zatrudnienia, ale też i odpowiednia baza materialna. Władze województwa opracowały kompleksowy program, którego realizacja przyczyni się do zmiany sytuacji w tej dziedzinie życia gospodarczego.

— Statystycy obliczyli, że średnio każda rodzina w województwie miejskim łódzkim posiada już dwa odbiorniki radiowe, telewizor, pralkę, odkurzacz. Natomiast co druga — lodówkę i froterkę. W moim przekonaniu z tych obliczeń należałoby wyciągnąć dwa wnioski. Pierwszy, że trzeba doskonalić działalność warsztatów naprawczych. Drugi, że na rynek muszą trafiać towary wyższej jakości, bardziej atrakcyjne. Słowem wyższa jakość pracy zarówno w usługach, jak i w przemyśle.

— To spostrzeżenie potwierdzają i inne dane. Na przykład w ubiegłym roku sprzedano w porównaniu do 1974 roku więcej telewizorów o ok. 40 proc., radioodbiorników — o 60 proc., pralek — o 64 proc., odkurzaczy — o 84 proc., mebli o 23 proc., samochodów — o 250 proc. Mamy jednak świadomość i tego, że na rynku brakuje wiele wyrobów wysokiej jakości.

— Ludzie ten brak są skłonni tłumaczyć wysokim eksportem.

— Trzeba mieć i tę świadomość, że nie można darmo modernizować gospodarki. Dla wielu łódzkich fabryk kupiono u zagranicznych wytwórców maszyny i urządzenia, kupowaliśmy i będziemy kupowali zagraniczne technologie. Trzeba to spłacać wyrobami uzyskiwanymi dzięki tym technologiom i na sprowadzanych z zagranicy maszynach. Ograniczta to niewątpliwie możliwości zaopatrywania rynku wewnętrznego w nowoczesne wyroby pochodzące ze zmodernizowanych fabryk. Ale to ograniczenie jest czasowe.

— Poza tym bez rozwijania eksportu, bez zdobywania nowych rynków, bez wymiany towarów nie można gospodarować w dzisiejszych czasach.

— To prawda. W przypadku województwa miejskiego łódzkiego proporcje są właściwie zachowane. W wartości całej produkcji naszego przemysłu produkcja na rynek stanowi 42 proc., a na eksport — 15 proc. Reszta — to produkcja na potrzeby innych fabryk w kraju, wynikająca z umów kooperacyjnych.

— W ubiegłym roku jednak produkcja na potrzeby rynku wewnętrznego wzrosła o 10 proc. w stosunku do roku 1976, a na potrzeby eksportu o 18 proc.

— Myślę, że nie w tempie wzrostu produkcji eksportowej tkwi jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Przeciwnie, jesteśmy zadowoleni z takiego wzrostu, ale nie jesteśmy zadowoleni z tego, że jedne zakłady są zbytnio obciążone produkcją eksportową, a inne nie mają wielu zagranicznych zamówień. Oczywiście kupcy zagraniczni lokować zawsze będą swoje zamówienia tam, gdzie pewni są wysokiej kultury wytwórczej, ale to nie jest żadne usprawiedliwienie dla tych, którzy takim warunkom nie mogą sprostać. Byłoby bardzo dobrze, gdyby uznanymi producentami na rynkach zagranicznych były nie tylko „Dywilan", „Próchnik", „Wólczanka", „Delta" czy „Femina".

— Czy pewne ograniczenie możliwości produkowania poszukiwanych wyrobów dla rynku krajowego i na eksport nie należałoby upatrywać w zbyt małej elastyczności zakładów przemysłu lekkiego?

— Tę elastyczność w znacznej mierze ograniczają określone trudności surowcowe. Surowce naturalne dla przemysłu bawełnianego i wełnianego trzeba kupować na rynkach zagranicznych, a z tym są różne kłopoty. Wiele krajów na przykład ogranicza eksport surowców.

— Czy jednak nie występują tu zahamowania organizacyjne. Wielkim zakładom wygodniej jest produkować długie serie towarów, ale czy zawsze znajdą się na nie nabywcy? Praktyka pokazuje, że powodzeniem cieszą się raczej ci producenci, którzy zdolni są szybko przestawiać się na krótkie serie. Czy nasz przemysł lekki nie popełnił błędu w koncepcji modernizacji i rozbudowy przemysłu lekkiego, stawiając giganty, zamiast budować mniejsze, ale bardziej podatne na szybkie zmiany fabryki?

— To prawda, że w różnych krajach można spotkać się z przedsiębiorstwami mniejszymi, które rzeczywiście są bardziej elastyczne i mogą szybciej reagować na zmiany mody i potrzeby rynku. Ale wydaje mi się, że sprawy szybkiej reakcji na potrzeby rynku należałoby upatrywać nie tylko w wielkości przedsiębiorstw, a również w organizacji pracy.

Spotyka się na przykład takie przypadki, kiedy ten sam wyrób produkowany jest w dwu różnych fabrykach. Mogłaby się więc tym zajmować jedna fabryka, a ta druga miałaby więcej swobody dla dokonywania szybkich zmian w produkcji.

Jest to również problem właściwego ustawienia produkcji w samej fabryce, w partiach mistrzowskich, na poszczególnych oddziałach. Tak zresztą postępuje przemysł odzieżowy który produkuje już na potrzeby rynku wewnętrznego i dla zagranicznych kontrahentów towary w krótkich seriach.

Jest to niewątpliwie zagadnienie strukturalne, ale też trzeba patrzeć na nie w kontekście rachunku ekonomicznego.

— Klient nie musi orientować się w problemach rachunku ekonomicznego tej czy innej fabryki. On po prostu chce mieć na półkach sklepowych towary dobrej jakości, a często zdarza mu się kupić — i to wcale nie po bagatelnych cenach — buble. Czy nie należy niepokoić się tym, że ilość towarów oznaczonych znakami jakościowymi wzrasta ciągle w zbyt powolny sposób? Odnosi się nieraz wrażenie, że wytwórcy jest wygodniej produkować byle co i byle jak, bo handel to i tak musi wziąć, a klient kupić w braku czego innego.

— Łódzka instancja partyjna sprawom jakości poświęca wiele uwagi w swojej pracy. Staramy się inspirować odpowiednie działania w przemyśle, aby rosła ilość coraz lepszych towarów i aby uzyskiwały one znaki jakości.

W 1977 roku — w porównaniu do rezultatów osiągniętych w 1976 roku — ilość towarów oznaczonych znakami jakości wzrosła o 31 proc., straty powstałe w wyniku braków zmniejszyły się o 25 proc., a wartość kar i reklamacji spadła o 33 proc.

Z tego wcale nie wynika, że te rezultaty nas zadowalają. W przemyśle lekkim udział towarów ze znakami jakości w całej produkcji zamyka się w granicach 12 proc., ale już w przemyśle bawełnianym — 7,3 proc., a w przemyśle wełnianym — 6,9 proc. W niektórych fabrykach spadła produkcja towarów oznaczonych znakami jakości. A niektóre przemysły, jak na przykład przemysł dziewiarski czy odzieżowy mają w ogóle kłopoty z jakością. Mówiono o tym na posiedzeniach KSR między innymi w „Fako", „Wólczance", „Feniksie" o potrzebie zmniejszenia reklamacji mówiono między innymi w „Jotesie" i „Wifamie".

Dowodzi to, że załogi widzą ten problem, widzą też jego przyczyny. A są one złożone. Jest to bowiem sprawa i jakości surowców, półfabrykatów, materiałów, jest to sprawa konstrukcji wyrobów, a także i jakość pracy pewnej części załóg, ich kwalifikacji i stosunku do tego, co robią.

— O złej jakości mówimy nie tylko w odniesieniu do wyrobów przemysłowych, ale też i w odniesieniu do budownictwa.

— Na problem jakości w budownictwie patrzymy dziś trochę szerzej. Przede wszystkim pod kątem funkcjonalności rozwiązań konstrukcyjnych. I w tej dziedzinie uczyniono wielki postęp. Nowe fabryki, które powstały w Łodzi uwzględniają już i ergonomię pracy, zapewniają pracującym określony komfort, dobre warunki socjalne i tak dalej.

— Odnosi się to również i do budownictwa mieszkaniowego.

— Bez wątpienia. Wielkość mieszkań budowanych w ubiegłym roku wzrosła w stosunku do 1976 roku średnio 3 metry. Są one większe, lepiej rozplanowane, zapewniają wyższy standard. Chociaż można i pod tym względem zrobić jeszcze więcej. Już sam fakt, że ludzie sami sobie poprawiają mieszkania, przerabiają je nie będąc specjalistami w tej dziedzinie, wskazuje, że są jeszcze możliwości poprawienia konstrukcji mieszkań.

— Ale na budownictwo trzeba patrzeć też pod kątem jakości wykonania.

— Właśnie. I to jest ten drugi kąt widzenia. Budownictwo znajduje się pod nieustannym obstrzałem społecznej kontroli bardzo zresztą szeroko rozumianej i często nie ujętej w żadne formalne ramy.

— Wynika to między innymi z tego, że wiele udzi niecierpliwie oczekuje na mieszkanie.

— Ale nie zapominajmy, że wśród nich są i tacy, którzy dążą do poprawy warunków mieszkaniowych. To wpływa na podniesienie wymagań w stosunku do budowanych. I dobrze, że tak się dzieje.

— W Łodzi buduje się rocznie ok. 12,5 tysiąca mieszkań. To jest bardzo dużo. Buduje się je jednak nierytmicznie. Zwykle w ostatnim kwartale roku następuje spiętrzenie prac, bo trzeba wywiązać się z zobowiązań planu. I to chyba jest jedna z przyczyn złej jakości.

— Jedna niewątpliwie, ale nie jedyna. Chcemy doprowadzić do tego, żeby sprawami jakości w budownictwie zaczęto zajmować się w sposób kompleksowy. Jest to już budownictwo wielkoprzemysłowe, a więc i na jakość jego pracy składa się wiele elementów. Trzeba je wszystkie przeanalizować, skontrolować i znaleźć źródła powstawania braków i niedoróbek, a następnie je usunąć.

— Kiedy można się spodziewać, że problemy budownictwa mieszkaniowego zostaną rozwiązane? Jak wielka jest to odległość w czasie?

— Na nowe mieszkania czeka w spółdzielniach 74 tysiące rodzin. W tym roku rozpatrywaliśmy podania zapisanych do spółdzielni w 1971 roku i chyba nie uda się nam załatwić wszystkich, którzy od tego roku oczekują na mieszkania. Te dane pokazują skalę problemu.

Chcemy wykorzystać wszystkie możliwości dla przyspieszenia realizacji zadań budownictwa mieszkaniowego, włączając w to pomoc samych zainteresowanych. Uważamy, że po 1985 roku będziemy mogli mówić, że w Łodzi zostały rozwiązane podstawowe problemy budownictwa mieszkaniowego.

Rozmawiał:

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JAN HUSZCZA

STRATY

Coraz więcej strat przybywa,
Żem łysy, głowa nie siwa.

Maleją straty z młodości,
Gdyż w tamtych sadach nie gościć,

Choć niekiedy w Czarnym Borze
Staję przy ciemnym jeziorze:

Wielu co w nim się kąpało,
Dawno mą stratą się stało.

Z różnych lat łąki i kwiaty,
To jednak także są straty...

Jest wśród strat b..kiet z ostróżek,
Są nie odbyte podróże.

Stoję wśród strat zagubiony —
Sobą, przeszłością zdziwiony...

Stracone rzeki i domy,
Kobiecy głos nieznajomy,

Niejedno wesołe bractwo,
A nawet głodne tułactwo.

Czy wiem, w którym kątku świata
Ze strat mych najcięższa strata?

Choć nie chcę, lecz muszę niemieć,
Gdy straty największe w ziemi...

Czy do strat zaliczy ktoś mnie,
Choć było ze mną nieznośnie?

Starość — strat zapominanie?
Starość — wśród strat przebywanie?

20. VII. 76

TREMBECKI

Od wytworności,
ozdobionej gwiazdą orderu,
do zaniedbania.
Od dworskości,
usłużnej i dowcipnej,
do niepodległej melancholii.

Żyć długo
po stracie czego?
Chyba jednak ojczyzny?
Żyć u kogo?
U tego, który się przyczynił...

W parku pod Tulczynem
wróble karmić okruchami...
I pod koniec
nie pamiętać ze swoich wierszy
nawet tej linijki:
„BO CZĘSTO ZAWIĄŻNIESZ GORZEJ..."

Co jest gorzej?
Co jest lepiej?

★ ☆ ★

Cóż potrafią
kruki dosłowne?
Za to kruki
Edgara Allana Poego
potrafią wydziobać
wszystkie gwiazdy,
tak załopotać skrzydłami,
że nie usłyszą siebie
ludzkie głowy.

★ ☆ ★

Zagajnik widać było z ganku,
to on zwoływał pory roku,
stał w czerni albo w sutynn wianku,
krył w trawie grzyby, usta w mroku.

Wgniatają koła w polną drogę
rumianki, przeganiając pszczoły,
a ja na snopach siedzieć mogę
prawie do samych wrót stodoły.

Gdzie pod bochenkiem liść klonowy,
brzęczeniem z sadu upał bucha —
jest mi miejsce dla strudzonej głowy,
pożywna drzemka u łopucha.

Najdalej w świecie ten zakątek,
za siódmą mgłą, za siódmym dymem —
tam koniec świata i początek,
więc jak przywołać wszystko rymem?

Tam głosy żywych i umarłych,
a wieczór ptakiem w łąkach kwili!
Głosy, imiona, twarze, barwy —
nawiedzcie mnie w ostatniej chwili!

(Z tomu „OD STARORZECZA", który ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

WRACAM

Znów wracam, wracam do szczeliny lasu, w którą wnikałem z wujem Józefem. Uczył mnie tam grzybów, opowieści siedmiodębu powstańczego grobu-ludnego, grzmiącego echem, które pobrzmiewa i we mnie. Wracam do drzew, traw, zwierząt i ptaków, do księżycowej poświaty na polanie, do sensu i bezsensu dróg. Wracam do domu, w którym chleb pachniał chlebem, jak szczapa łuczywem. Wracam do wilka, którego nikt nie nazywał barankiem, do prawdziwego mrozu, od którego pękają pnie pamięci, jak armatnie wystrzały wyiskrzoną nocą, do obrzynka pod belką i tych paru kresek, które czyniły mnie mężczyzną, do spróchniałego chomąta, w którym, jak w karykaturze — jestem bardziej podobny sobie. Wracam, aby pochylić pod powałą głowę, ucałować wspomnienia paru twardych rąk i zobaczyć się z macierzanką przy kapliczce. Wracam jeszcze raz spojrzeć wzdłuż bruzd w stronę lasu, odetchnąć naprawdę prawdziwym powietrzem. Wracam, żeby może więcej tu nie wrócić.

UMIERAJĄ PRZYJACIELE

Umierają przyjaciele, wykruszają się, jak spróchniałe zęby, umierają i odchodzą na drugą stronę ulicy. Odnajduję ich czasem w pożółkłych papierach — krzywo skłamane twarze, z ich brzuchów już wypełzają pieniądze, z głów sypią się zbutwiałe sprawy i interesy. W kryształowym oku jednego z nich widzę siebie. Śmieszny, bezradny człowieczek obnaża zęby, kręci się, szuka, przestępuje z nogi na myśl...

Siedzę pośrodku miasta, w kawiarni. Rozmawiam, jak to dzisiaj między przyjaciółmi — nie słuchając nawet własnych słów, bo i po co? Wsłuchuję się w trzask ziaren w klepsydrze. A Judasz już na jutrznię dzwoni.

PTAK W KLATCE

Długo trzymany na uwięzi — zaczyna przekształcać się w ideę lotu. To już nie ptak, nie to, co składa się z mięśni, kości, pierza, głodu, pragnienia — to sam lot wcielony przez przypadek w tę formę.

Tu kraty, drzwi zamknięte — więzienie, a między jego piórami kiełkują małe pączki wiatru, prądy wznoszące chmury, które trzeba będzie przebyć. W powiewach wyłaniają się zielone okolice, narecza zapachów, które dźwigają śliczne, małe kwiaciarki,struny deszczu trącane delikatnie palcami łozy nad jeziorem, rozkołysane płaszczyzny pól...

Gdy podnosicie martwe ciało z dna klatki, gdy wydaje się wam, że legł umęczony — on już wysoko, przywrócony przestrzeni.

Czymże więc jest klatka, wobec nieśmiertelnej potrzeby lotu?

WSPOMNIENIA WOJOWNIKÓW

Nasi wrogowie ciągle tkwią w nas. Napinają łuki, gną znacząco szabliska, potrząsają grotami, zaciskają palce na karabinach. Z nas się rodzą nasi wrogowie. Rodzą się, biegną, ścigają, uciekają. Nieogarnione są równiny, pełne taborów, żelastwa, koni...

Zwierzęta ich, a więc i nasze poniekąd — strzygą uszami, rozdymają nozdrza, poruszają się niespokojnie w oparach potu i krwi — ich krwi, a więc i naszej.

Gdy mówimy dziś — my, tamci my — wojownicy, a więc i nasi wrogowie w nas — wojownicy, to już archeologia. Przyglądamy się tamtym chłopcom, wrogom naszych wrogów, a więc i sobie, w których oni żyją. Odkopujemy zardzewiałe palce na milczących lufach i wmawiamy sobie naszych wrogów w sobie, a więc i siebie naszym wrogom.

Potem nawilżamy wyschnięte gardziele, smakujemy zielone równiny, wiatry gęste od zapachu kwiatów. Sypiamy zaś w łożach, w tłumach kobiet naszych i naszych wrogów. Nic dziwnego — ocaleliśmy, ale i oni choć polegli — ocaleli w nas. Winniśmy więc być swoimi wrogami, skoro oni są w nas.

Jeszcze dzień, dwa, a sięgniemy po karabiny, postawimy bagnety i ruszymy im naprzeciw, także przeciw sobie.

SPALONY

Odszedł człowiek, odszedł w krwiobieg natury z woli drugiego człowieka, rozpłynął się w nieustanny, czarny obłok i powietrze. Odtąd jesteśmy zaczadzeni. Nasze serca to już nie zwykłe mięśnie, ni organa najczulsze to tylko peklówka, wędzonka wieku.

Nie znałem tego człowieka, nie pamiętam nawet cienia, jedynej właściwości, którą mogłem uchwycić, lecz on pozostał, czuję go w naszej atmosferze, ciągle jest wszechobecny.

U północnej ściany świata jawi się płonący nietoperz, strzęp świszcze rozpięty na drutach pod napięciem, żywa uliczna pochodnia płonie przed gmachem, pałacem obojętności. Nie zagłuszy jej big-beat, ani klaskanie saksofonu i bałałajek.

Nie ocali nas słowo, ani kropla potu u czoła, która dotąd nie wyparowała. Cóż nas, marnych może jeszcze ocalić? Może ten w piersi — węgielek wiary, jeśli się jeszcze żarzy?

WIELKI

Niezmierzoną jest Wielkość Jego, jak i samo pragnienie Wielkości. Jego Wielkość narzuca się i przytłacza nas. W cieniu Jego Wielkości nie istniejemy już prawie, podczas, gdy On nieustannie rośnie. Z wyżyn Wysokości Swojej — zaledwie nas dostrzega, więc gdy On rośnie, my stajemy się coraz mniejsi.

Sami, nieomal z własnej woli — wznosimy mu cokół. W trudzie i pocie, brnąc przez bagna i chaszcze — nosimy cegłę i polny kamień, bierwiona, deski...

Aż nagle, niespodziewanie — rozlega się śmiech malca. Zastygamy w grozie.

Cała misterna konstrukcja, cała ta podbudowa Wielkości zaczyna się trząść, drżeć i wali się z hukiem.

Wielki padając z Wielkiej Wysokości Swojej rozbija sobie głowę na kawałki. Dziwne to zaiste, nam starczyłby siniak.

Mając na względzie takie doświadczenie — pomyśl kogo by jeszcze można Wywyższyć.

SZPARA WE ŚNIE

W każdym śnie istnieje zawsze szpara, niewielka zresztą, mniejsza od dziury w całym. Jest to specjalna szpara dla aniołów. Kiedy przez szparę we śnie wnika Anioł Stróż i czuwa nade mną — wszystko jest w porządku. Ale ostatnio mój Anioł Stróż podobnie, jak inni funkcjonariusze — wymyka się na wódkę. Wtedy przez szparę we śnie wdzierają się Anioły Upadłe. Kontakty z nimi powinny być zakazane, ale skoro już mam z nimi coś wspólnego — działam, jak mi radzą. Siejemy więc wątpliwości, zbieramy owoce z drzewa wiadomości, pijemy do rana...

Kiedy przez szparę snu widzę rozjuszone twarze sąsiadów gotujących się, by mnie rozjechać czołgami — zapuszczam roletę i zaczynam licytować się z Aniołem Stróżem. On ma jednak zawsze przewagę, jest wolny od kaca.

ŚWIT

Już podnosi się z letniej plaży biały chłopiec w pasiastej piżamie. Powietrze ziewa ostatni raz i unosi dziewczynę, która szczesuje na nas jasne fale włosów.

Wtedy właśnie następuje rozbrat żagla i latawca.

— Dzień dobry — mówi chłopiec dziewczynie. Bawmy się do zmierzchu, bo ja jestem letni dzień nad morzem, ciepły i pełen łagodności, jak dotyk twoich ust o świcie.

ZEGAR

Z pozoru ten stary zegar, to pogodny starszy pan, kiwa krawatem w tę to w tamtą stronę, co pewien czas powtarza, że bimba — wiecie już kogo, co i dlaczego?

Jedni go się boją, inni ignorują, pewien asekurant twierdzi, że za wiele wypił.

Ale każdy zegar chodzi do czasu. Pewnego dnia staje przed zakrytym lustrem, otwiera klapy i śle desant mrówek.

Żaden właściciel tego nie oglądał, ale możecie mi wierzyć, że jest to prawdziwe oblicze zegara.

TAJEMNICA

Tajemnica postanowiła zamieszkać u mnie. Nie miałem nic przeciw temu, ukryłem ją za kotarą przed policją i kotami. Gdy tylko ktoś zbliżał się do mojego domu — udawałem, że wychodzę załatwić coś, albo poczynić zakupy, byle tylko odciągnąć intruza możliwie najdalej od tajemnicy.

Aż pewnego dnia, po powrocie do domu znalazłem ślady rewizji — zerwano nawet podłogi, ściągnięto kotarę, koty wydrapały dywany, wypłoszyły myszy...

Tajemnicy oczywiście nikt nie znalazł, ponieważ tak naprawdę, to ona jest we mnie.

ROZMOWA

Rozmawiam z moją nigdy nie wygasłą dumą, a rozmawiam ostro bo mam z nią na pieńku nie byle co — głowę. Wiem — przetrwa mnie i zaświadczy. Już oni mi to załatwią. Najpewniej będą to przyjaciele — ten i ów, szczególnie ów.

Moja duma mówi: biorą mnie głodem, jak średniowieczne twierdze średniowiecznymi metodami.

Milcz — mówię mojej dumie, a duma mi odpowiada — to ty milcz. I tak rozmawiamy sobie od rana do wieczora i z powrotem. I z powrotem.

ULTIMA THULE

Płyniemy od pokoleń, od mojej pierwszej obecności, od piękna pierwszej klęski, kiedy kamienne fale myśli uwikłały w swym wnętrzu, jak bursztyn pszczołę, jak muły podłości więżą lotny los poety. Narodzeni dla lotu, dla zmagań daremnych, daremnie poszukujemy. I jakaś gorzka ironia jest przy nas, gdy daremne żmije tańczą wśród gruzów kolejnej epoki, gdzieś może w Starej Smolarni.

W oparach benzyny podaję ci rękę w sztafecie, późny mój synu — poeto. Nawigare necesse est.

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

MINIATURY PROZĄ

Foto: Archiwum

NOTATNIK RUMUŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Lista przekładów współczesnej literatury polskiej na rumuński, jest skromniejsza. Aktualnie odnajdujemy tu tylko nazwiska **Iwaszkiewicza, Lema, Szymborskiej, Herberta, Filipowicza, reportaże Wolanowskiego.** Zaznaczają swą obecność książki o sztuce — **Białostockiego i Karpowicza**, a także literatura społeczno-polityczna. Najpopularniejszym naszym pisarzem, co ma miejsce chyba w większości krajów świata, jest **Stanisław Lem.** Po węgierskim i rumuńskim przekładzie **„Solaris"**, ukazała się niedawno **„Cyberiada"**. Ogromna jest też popularność dramaturgi **Mrożka. „Emigrantów" wystawia 5 teatrów: Teatrul Mic Bukareszt, Oradea, Arad, Bacu, Cluj-Napoca. W Jassach przygotowują „Tango" i „Iwonę, księżniczkę Burgunda" Gombrowicza, w Craiovej przygotowują „Apetyt na czereśnie" Osieckiej.** Obecność polskiej dramaturgii utrwalają gościnnymi występami nasze teatry. Aktualnie zapowiedział przyjazd do Bukaresztu warszawski **Teatr Powszechny ze „Sprawą Dantona" Przybyszewskiej.**

„WIEK XX"

Wizyta w redakcji miesięcznika „Soucolul XX". To, bez przesady, periodyk na europejskim poziomie, zarówno pod względem treści, jak i szaty edytorskiej i sposobu redagowania. Spełnia ważną rolę w torowaniu kontaktów rumuńskiego czytelnika, nie tylko ze światową literaturą, lecz sztuką w ogóle, m. in. plastyką, filmem, teatrem. Z pewną przesadą można powiedzieć, że koledzy z „Soucolulu" wzięli na siebie te obowiązki, które u nas rozłożone są na barki redaktorów „Literatury na świecie", „Dialogu", „Twórczości", „Miesięcznika Literackiego", „Sztuki" itd. Jest to, oczywiście, porównanie zasięgu tematycznego a nie poziomu i objętości. Zresztą występują tu inne podobieństwa, jak organizowanie numerów tematycznych. Z przyjemnością, oprócz specjalnego numeru poświęconego polskiej sztuce, natrafiamy na częste akcenty polskie **(Różewicz, Witkacy, Kantor, Wajda).**

Zespół miesięcznika liczy 12 redaktorów, ale wspomaga go liczna grupa specjalistów z różnych dziedzin sztuki. Redakcją kieruje znany krytyk, niezmordowany w pomysłowości i inicjatywach, **Haulica Dan,** przy tym człowiek bywały w świecie. Gdzieś w Europie spotkał się z **Ryszardem Stanisławskim, dyrektorem Muzeum Sztuki,** o którym ma wysokie mniemanie, co każdy w Łodzi chętnie potwierdzi. Więc i tu człowiek spotyka wspólnych znajomych. Jest ich więcej. Przed nami gościem „Soucolulu" była **Danuta Cirlić-Straszyńska,** zapowiadając rozszerzenie współpracy z „Literaturą na świecie".

POLONIŚCI I LEKTORZY

Nim ostatniego dnia pobytu odwiedziliśmy Instytut Języków Słowiańskich Uniwersytetu Bukareszteńskiego, mój duch opiekuńczy, **Constantin Geambasu,** zaprowadził mnie do **dra Stanisława Borawskiego, lektora języka polskiego** w tymże instytucie. U gospodarza zastajemy akurat **Jerzego Serociaka,** który pełni taką samą funkcję na uniwersytecie w Jassach. Jest więc dobra okazja, by porozmawiać o kształceniu kadr, tak ważnych dla naszej, różnego rodzaju obecności w Rumunii. Chodzi, rzecz jasna, o przyszłych tłumaczy, nauczycieli języka polskiego w istniejących tu kilku szkołach polskich, a także pracowników handlu, dyplomacji itd.

Te rozmowy prywatne, nakładają się jakby i przenikają z tym, co później słyszymy na uniwersytecie. Już bez pośrednictwa tłumaczy, oczywiście. Jesteśmy gośćmi doc. dra Ilona Petrici, ale obecny szef Zakładu Polonistyki i wszyscy obecni **(doc. Elena Terpu, doc. Elena Linta, doc. Deboveanu, dr Victor Jeglinski (po naszemu po prostu Żegliński), dr Mihai Mity i Elena Timafte), podkreślają, że są wychowankami profesora dr Ilona C. Chitinii.** Emerytowany obecnie profesor także przybył na spotkanie. Jego zasług dla rozwoju polonistyki nie da się zdawkowo skwitować. Autor wielu prac naukowych o naszej kulturze, tłumacz m. in. Mickiewicza, Długosza, Kromera, współpracownik prof. Krzyżanowskiego, a przede wszystkim twórca bukareszteńskiej polonistyki i wychowawca wielu pokoleń ludzi realizujących jego ideę zbliżenia kultur naszych narodów. Uhonorowany za swą — jakże cenną pracę — Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Biorąc pod uwagę wyłącznie liczbę studentów, można by sądzić, że działalność zakładu jest skromna. Bowiem przyjmuje się tu co 2 lata około 10 studentów. Nic jednak bardziej fałszywego. Nauka języka i literatury jest tu dalece zindywidualizowana, co daje doskonałe rezultaty. A to przecież jedna strona medalu. Druga to praca naukowa i translatorska zespołu **docenta Petrici.** I tu mogłaby nastąpić długa lista dokonań.

Pytamy o trudności, bo gdzież ich nie ma. Za mało słowników, za mało książek do dyspozycji studentów i pracowników z naszej bieżącej produkcji wydawniczej. W tym miejscu przypomina się brak Ośrodka Kultury Polskiej. Nie tylko z tego powodu. Bo ośrodek to przecież kontakt z filmowcem i jego dziełem, pisarzem, czy aktorem, naukowcem, działaczem, zazwyczaj dużą biblioteką, szerokim zestawem czasopism i gazet. To wszystko jest w zasięgu rumuńskich polonistów, ale jest tego po prostu „za mało", co adresuję do instytucji zajmujących się sprawami popularyzacji naszej kultury za granicą.

Staszek Borawski, adiunkt Uniwersytetu Wrocławskiego, który przyjechał tu na trzyletni kontrakt lektorski, jest jak najlepszego zdania o wszystkim, w czym tu uczestniczy. Energiczny i pomysłowy, zdobył tu już nie tylko przyjaciół, ale także sojuszników dla swoich pomysłów, aby studentów polonistyki, jak najlepiej przysposobić do zawodu.

BUKARESZT W STYCZNIU

O Bukareszcie mówi się, jako o „Paryżu Wschodu", ale jestem daleki od takich bałamutnych porównań. Styczniowe mgły i rozdeptany śnieg na ulicach nie dodają miastu uroku, ale wystarczy przejechać głównymi ulicami, połazić po centrum, żeby się przekonać o jego urodzie. Mieszkam w hotelu „Dorobant" przy Bulwarze Balcescu, na siedemnastym piętrze i oglądam to miasto na przemian, z góry — gwiaździste rozbiegające się od placów ulice; i z perspektywy przechodnia, uzbrojonego w przewodnikową wiedzę i lektury kilku książek, które przed wyjazdem zdążyłem przeczytać. Mam jednak przede wszystkim w pamięci komunikaty sprzed kilku miesięcy o trzęsieniu ziemi, doniesienia naszej prasy, reportaże z okresu tamtych tragicznych wydarzeń. Pytań na ten temat staram się nie zadawać, by nie poruszyć czyjegoś niechcianego, bolesnego wspomnienia. Już jednak jadąc z lotniska do hotelu, mój przewodnik i tłumacz, Kostek, powiada: „Straty, jakie ponieśliśmy, są szczególnie dotkliwe w sferze psychologicznej. Gorsze chyba od strat materialnych. To, co się stało, nadal jest jeszcze w nas...". Wierzę mu, bo widzę. Skutki kataklizmu (podobnie, jak wcześniej — powodzi) usunięto szybko, sprawnie i ofiarnie. Tylko gdzieniegdzie widać oparkanione miejsca, rzadko gdzieś ślady na bocznej ścianie jakiejś kamienicy, od której sąsiadujący dom się „oderwał" i zamienił w kupę gruzu. Przy takich miejscach przystawaliśmy bez słów, bo były one niepotrzebne. Zresztą Kostek, przejęty swą rolą, chciał mi pokazać, jak najwięcej: zabytkowe budowle, miejsca pamięci, pomniki, muzea, m. in. Muzeum Sztuki w skrzydle prezydenckiego pałacu i Muzeum Historyczne, gdzie rozpoczął — trwający do końca pobytu — swój „krótki kurs" historyczny, co i tak zawsze kończyło się dyskusjami o dniu dzisiejszym. Zostawmy jednak te sprawy, tego rodzaju ciekawość lepiej zaspokajają biblioteki.

BRASOV I OPOWIEŚĆ O TRZĘSIENIU

Gospodarze uprzedzili moje życzenia, chciałem tam koniecznie pojechać, chociaż na kilka dni. Wiadomo, zima, góry. Wsiedliśmy więc z Kostkiem w ekspres i po dwóch (!) godzinach odbiliśmy od Bukaresztu o równe ćwierć tysiąca kilometrów. Nowe miasto, jak wszystkie nowe miasta. Ściany standardowych bloków, szerokie ulice, biurowce i fabryki. To drugie miasto Rumunii, ponad 200 tysięcy mieszkańców, duży ośrodek przemysłu, m. in. fabryka traktorów i samochodów ciężarowych. Rozbudowuje się, słusznie uciekając od gór, od starego Brasov, które — na rzut kamieniem — drzemie nie naruszone, spatynowane, jak góralska osada, jakby w trójkątnej rozpadlinie, u stóp lesistych, skalnych nawisów.

Zaraz po przyjeździe, nie możemy długo wytrzymać w hotelu „Carpati", najnowocześniejszym pomoc hotelu w całej Rumunii, rzeczywiście o pięknej sylwetce, wkomponowanej w stare budownictwo.

W pobliżu rynek. Odnoszę wrażenie, jakbym tu kiedyś był, a to podobieństwo starych miast. XVI-wieczny ratusz, zabytkowe kamieniczki, wejścia do winiarni przyozdobione lampionami i jedliną, masywne bryły kościołów (wśród nich unikalny „Czarny Kościół"). Wielojęzyczny gwar przy autokarach na rynku, luksusowe samochody pod hotelami.

Jeszcze tego samego dnia wyjeżdżamy do Pożany Brasov, może nie tak daleko, ale znacznie wyżej, bo droga cały czas sempertynami. Tu wracamy nazajutrz, bo miejsce przepiękne, a przy tym mądrze zorganizowane. Nie dopuszczono tu do budowlanej agresji. Kilka hoteli i pensjonatów ma taką architekturę, że są ozdobą krajobrazu. Wyciągi narciarskie i kolej linowa, są koniecznością. Zimą nigdy byśmy się tu nie wdrapali, na prawie 2500 m. Dawno już przestałem być poetą i daruję sobie opisywanie górskich widoków. Plącze się tylko myśl, że trzeba tu kiedyś wrócić, koniecznie.

Na razie wracamy na polanę. W „Kolibie Hajduków" jakaś wycieczka. Uroczo tu, ale nie odpowiada nam towarzystwo rozwrzeszczanych, brzydkich choć młodych Angielek. „Dacka karczma" w podobnym stylu, spokojna i pustawa. (Np. chociaż niby pełnia sezonu, w sumie nie za wielu turystów). Siadamy na małych beczkach przy dużej beczce-stole, na ścianach skóry, kilimy, talerze, obok płoną drewna w kominku, dziewczęta w stylizowanych na dackie strojach obsługują sprawnie i szybko. Ostre mięsa i wytrawne wino, cała atmosfera wnętrza (choć wiadomo, że przemyślnie „zaprojektowana") zmusza człowieka, by czuł się tu dobrze.

Kostek opowiada, popijamy czerwone, wytrawne, mówi spokojnie, jakby chciał zilustrować tamten swój sąd, wypowiedziany w czasie jazdy z lotniska.

„Byłem w domu kultury, gdzie cię zaprowadzę. Stary, wielki pałac. Siedzieliśmy po próbie w gabinecie Doiny, sporo ludzi było, jakaś okazja, wino... Nim odczuliśmy pierwszy wstrząs, zgasło światło. Przez chwilę nikt z nas nie uświadomił sobie tego, co się stało... Dopiero krzyk którejś z dziewcząt... Ten pierwszy wstrząs był p i o n o w y, cały dom jakby wył, płakał, jęczał, poddany tej strasznej sile... Po kilku sekundach śmiertelnej ciszy, ta siła zaczęła go rozrywać p o z i o m o... W ciemnościach nie mogliśmy wybiec, tłoczyliśmy się między framugami drzwi, bo tam podobno najbezpieczniej... Znalazłem się na ulicy. Minął pierwszy szok, potworny strach, ale zaczął się ten drugi, znacznie mocniejszy, gorszy... O najbliższych. Co z nimi? Mieszkam w czteropiętrowym bloku, na przedmieściu, kawał drogi od centrum. Żona w szóstym miesiącu ciąży, dwuletnia córka... Udało mi się przejechać kilka przystanków autobusem. Wszyscy dzielili ze mną ten sam niepokój o swoje rodziny... Potem biegłem, szedłem, wiele kilometrów... Na szczęście nic się nie stało. Żona była już w nocnej koszuli, narzuciła płaszcz, owinęła dziecko w koc i wybiegła. Znalazła latarkę, potem jeszcze wróciła by wyłączyć gaz. Znalazłem ją po kilku godzinach. Do rana przeczekaliśmy w jakimś parterowym domku. W każdej sekundzie oczekiwaliśmy dalszych wstrząsów... Gospodarz domu miał radio tranzystorowe, to dodawało nam otuchy... Nasz prezydent był za granicą, natychmiast powrócił do kraju... Dalej już wiesz... Chociaż następne dni nie były łatwe, psychologicznie... Spałem w ubraniu sam w tym mieszkaniu, bo przy pierwszej okazji wywiozłem żonę i dziecko na wieś, do rodziców...".

Chyba się polubiliśmy z Kostkiem Geampasu. Po studiach na Uniwersytecie Warszawskim nie tylko świetnie mówi po polsku, ale wyczuwa jego najdrobniejsze niuanse. Jest asystentem w Zakładzie Polonistyki, kończy pracę doktorską o twórczości Marii Dąbrowskiej, sporo tłumaczy, powoli przymierza się do przekładów literackich. Jak ma czas, pilotuje Polaków, bo chce mieć kontakt z mówionym językiem. Oczywiście, wybiera się do Polski, którą zna i lubi, gdzie omal się nie ożenił. I jeszcze znajduje czas, żeby ćwiczyć w orkiestrze Zespołu Pieśni i Tańca „Ballada".

„BALLADA" I DOINA

...Dyrektorka „Casa de Cultur'a" szóstej dzielnicy Bukaresztu, Doina Prisecaru, zastrzega się, że nie udzieli mi wywiadu, ale tak sobie pogadać możemy.

Jest już po występach. Spóźniliśmy się trochę, było już po części oficjalnej. Za kilka dni jest 60-lecie urodzin prezydenta Nicolae Ceausescu i koncert w Domu Kultury odbywa się z tej okazji jak wiele podobnych imprez w całym kraju. Duża sala wypełniona do ostatniego miejsca, młodzież i dorośli. Reagują żywiołowo, bo zespół zasługuje na oklaski. Kolorowy, świetnie wyszkolony, śliczne, wdzięczne dziewczyny, przy których chłopcy trochę jakby mniej lotni. To rzeczywiście od lat jeden z najlepszych zespołów w kraju, uhonorowany najrozmaitszymi nagrodami, znany w całej niemal Europie, od Turcji i Włoszech po Skandynawię. A co najważniejsze, zespół nie stylizowany, lecz z pietyzmem odtwarzający pierwotne zapisy ludowych przyśpiewek i tańców. W tej wierności tradycji jest też chyba cząstka jego uroku i powodzenia u publiczności, która już nie jest wiejska, lecz swój rodowód nosi w żywej pamięci.

Zawsze mnie zastanawiało to głębokie, nieprofesjonalne zaangażowanie ludzi w sztukę. Tutaj jest podobnie. Dyrektorka tłumaczy to potrzebami samorealizacji, wyżycia się, świadomością, że coś ważnego ocalają. Kiedy opuściliśmy sympatyczne towarzystwo, Kostek dodaje: „Robimy to także dla Doiny. Ona stwarza w tym domu wspaniałą atmosferę, czujemy się jak w rodzinie".

„Ballady" w Polsce nie oglądaliśmy, chociaż lepiej powiedzieć: na razie...

JERZY WAWRZAK

Foto: Archiwum

ZBIGNIEW S. NOWAK

BACHTAŁO DROM!

— Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma... — rozchwiana fraza bladzi w mroku, wibruje natretnie. Wodzi ja kamienne echo po bezdrożach ulic; noc ściga ja złowrogim, wielogłosym poszeptem, dopada w ciemni...

Krzyk!

Bezimienny falset nagle tnie ostro śpiewny watek wzbija się rozgłośnie ponad miasto, rozrywa w charkot, potem spada w głucha pomrokę Cisza. Spokój. Wielkomiejski chłodny spokój. Tylko tam w dali zły skowyt syreny.

— Dziś prawdziwych Cyganów... — znów uparta melodia nadbiega chyłkiem, kołuje blisko, drażni. Przesacza się cienko przez uchylone okno kawiarenki — rol przypomnienia...

Pamięć ucieka nagle do lat odbiegłych dawno, gdzieś na podmiejskie błonia, szeroko wylegle nad rozciagla struga, poszyte latami skarlałej olchy, brzeziny, czarnego bzu.

Odoj veszestyr vydżan Roma...

Znów się tarzy Baro Jag — Wielki Ogień; wkoło spięte w podkowe tabory. Malowane wozy, ostro ukwiecone jedwabie, granatowe kaftany zdobione srebrnymi guzami. Smagłe twarze, śpiewne zawołania, połyskliwe spojrzenia. Odo Roma: Haszki, Czurejki, Siwaki, Kovatze, Bohusze, Kotlary.

Płonie vatra, sypie jaskra suchy jałowiec...

Olbrzymi Bohusz staje w migotliwej poświacie płomieni, wysoko unosi potężne ramiona; na szerokachnych dłoniach — maleńka figurynka, jego trzyletnia prawnuczka Czicza. Grucha tamburyn, pokrzykuje akordeon, tokują skrzypce. Czicza — tam w górze, ponad biała głowa starca — tańczy, drobi nóżkami podfruwa w pląsach, wiruje barwnie aż do zawrotu głowy. Duredyr, hucedyr, sygedyr!

Zachwycony poklaskuję w dłonie...

— Pan czegoś życzy? — zdumiona kelnerka przygląda mi się uważnie, bardzo uważnie. Gdzie ja jestem? Przytomnieję w mgnieniu oka, zamawiam jeszcze jedna kawę. Zupełnie bez sensu — gdzie Cyganie.. ot, durna jakaś tęsknica. Phuro grai — stary koń z broda, cholera, a się roztkliwia. Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma...

SĄ JESZCZE CYGANIE

Drzwi kawiarenki otwieraja się nagle. U wejścia na salę pojawia się barczysty cień — gitara — ogromne czarne rondo. Długie, krucze, drobno sfalowane loki. Bystre spojrzenie węglistych oczu. To Czalczani — czujka. Lustruje salę. Saro miszto — wszystko w porządku. Ciemna twarz rozjaśnia na chwile chytry uśmieszek. Dużo jeszcze gości w lokalu, choć trochę późna pora, wielu starszych. To dobrze. Starsi lubia cygańskie granie, dobrze czasem płacą za kareski, za czardaszki. Javena łove — będzie zarobek.

Wchodzi reszta: chromy skrzypek Pućaki, drugi gitarzysta Byka, mały akordeonista Waśko, potężnie zbudowany basista Foti. Popatruja dokoła, potem stają ciasno pod ściana, dostrajaja instrumenty. Sypia się drobno rwane nutki — grajkowe zwiastuny. Jeszcze kilka przeciagłych tonów, kilka słów porozumienia, błysk oka i.. bucha muzyka...

Zda się, znów jakby słysze wieczorne rżenie koni, świst śmigłego wiatru, trzaskanie płonących smolaków. Ponad to wszystko, poprzez gestwę rozbieganych dźwięków wybija się ciemny bas Haszki, niesie ciężkim echem:

— Dajury, dajury...
Matusz bary jagury —
naczytni, nabary
hałmetivy ludivy —
matusz moja...

Mdleje wreszcie gardło, rwa się słowa, cichnie granie. Milknie stara pieśń, umykaja wspomnienia dawnych, swobodnych wędrówek. Słucham jeszcze... nie, to nie Haszko, to tylko basista Foti nieostrożnie tknął buczaca strunę.

Milczą kawiarniani goście. Pućaki popatruje po sali spod oka, z mina ni to kuglarza, ni bałamuta — raczej wytrawnego reżysera. On wie, co robi. On robi spektakl, takie przedstawienie, gdzie główne role graja ludzkie sentymenty. Oho, smutni goście, znaczy się — wpadli w trans. Ale teraz trzeba ich rozweselić; uśmiechnieci więcej płaca. No to co, czardaszka?

Jeden, drugi przytup noga i znów gra kapela — „takie ci sztukują kawałki, że kapcie same puszczają się w dróbkę, łak wycinają"! Co jest?! — omal nie przewracam stolika; otwarty notatnik leci na podłogę. Zbieram go śpiesznie, ale jak tu opisać tę cholerna muzykę? Zresztą, właśnie się skończyła. Koniec spektaklu.

Pućaki idzie między stoliki postukując laską, zbiera datki w czapkę: pięć zł, dziesięć, złotówka. Daję mu dwadzieścia, a on mruga porozumiewawczo, potem spluwa trzykrotnie na monetę — na szczęście! Po tej ceremonii wszyscy skłaniaja się nisko gościom, składaja instrumenty, wychodza w noc — dokad? Jeszcze tylko przez chwilę kołysza się za nimi drzwi... Bachtało drom, Romale — szczęśliwej drogi!

Z omamienia wyrywa mnie kelnerka:

— Czy mogę pana skasować?

Stupieję. Że niby co?! Tak to kończy się niemodna romantyka, ckliwy melodramat — zaczyna się tzw. zwykły, szary dzień. A właściwie to ten dzień już się kończy: obsługa lokalu „dyskretnie i nadzwyczaj elegancko" płoszy gości, wygaszając światła. Czas do domu...

RODOWODY

— Siadaj, Zbyszko, tu z nami! Co chcesz wiedzieć jeszcze — powiemy. Ale ty nie wszystko napiszesz, ty wiesz...

— Wiem, ja przecież nie łoło dżukeł. Mówcie śmiało, to przecież dla waszego dobra, dla reklamy...

Mówia wreszcie. Powoli, z ociaganiem, ale mówia.

Pochodza spod Sanoka. Jeśli nawet nie wszyscy tam się urodzili, to przynajmniej ich rodzice stamtąd. Sanocka Roma. Cyntury, o których znakomity cyganolog Jerzy Ficowski powiada:

„Cyganie pochodzenia węgierskiego, najbliżsi językowo polskim Cyganom wyżynnym („bergitka Roma" z Podkarpacia). Mieszkają w stałych siedzibach i nie mają wozów ni koni. Zajmują się muzykanctwem i w kilkuosobowych grupach, tworzących kapele, jeżdżą pociągami po kraju, by muzykować po miastach w podrzędnych restauracjach, zbierając zapłatę do kapelusza. Często nawet zima grupki Cynturów zaglądają i do Warszawy".

Cyntury, ale niezupełnie 45-letni szef kapeli Andrzej Huczko — Pućaki urodził się w Sanoku. Że strony ojca pochodzi z Cynturów. Matka Pućaki natomiast przybyła do Polski podczas I-szej wojny światowej z Siedmiogrodu, wywodzi się z Cyganów węgierskich — „Rom ungri".

Także z Sanoka pochodzi 33-letni akordeonista Bazyli Andreasz — Waśko. Jego przodkowie przybyli na ziemie polskie z Węgier w II poł. XIX w., w okresie wielkich wędrówek „czarnego ludu", powszechnych wówczas w całej Europie. Przez matkę Waśko spokrewniony jest z Cyganami rosyjskimi — „chaladytka Roma".

Z kolei przodkowie gitarzysty Edwarda Dymitra — Czalczani pochodza częściowo z Bułgarii, częściowo z Węgier. Ale Czalczani urodził się nie w Sanoku, lecz już w Paczkowie, 29 lat temu. Tam bowiem po spustoszeniach II-giej wojny przeniosło się wielu Cyganów, osiadłych dawniej pod Sanokiem. Wypędziła ich stamtąd wojenna pożoga, która zmiotła doszczętnie ich lichutkie gospodarstwa, wypłoszyły ich prześladowania ze strony ukraińskich watażaków.

Do Paczkowa przeniosły się też rodziny Huczków, Andreaszów, Siwaków. Później wywędrowali do Duśznik, następnie pod Wrocław, wreszcie do Słupska. Stamtąd jednak rychło powrócili prawie wszyscy do Wrocławia, a ściślej do Ziębic i Brochowa.

W Brochowie w 1955 r. urodził się Zbyszko Siwak — Byka, drugi gitarzysta. Rodzina Byki skolligacona jest z „bergitka Roma". Siwaki to bardzo stara rodzina cygańska, zamieszkała w Polsce od XVII w.

Najmłodszy z kapelantów, 22-letni basista Zbigniew Andreasz — Foti, brat Waśki urodził się w Ziębicach.

KAPELA

Cała piatka tworzy kapelę rodzinna, wszyscy bowiem sa ze sobą spokrewnieni. Każdy z nich muzykuję od najmłodszych lat, od dziecka przygotowywany do tej profesji. Takie sa u nich zwyczaje, bo przecież oni Cyntury, choć o rodowodach mocno powikłanych, nietypowych. Pućaki gra na wielu instrumentach. Waśko równie dobrze radzi sobie z gitara i kontrabasem. Mistrz gitary Czalczani znakomicie gra na skrzypcach i akordeonie. Potrafia też świetnie grać na dawnych cygańskich instrumentach: lutni, cytrze, cymbałach, które dziś wyszły już z użycia.

Ich repertuar, oprócz aktualnych „radiowych" przebojów, które także wykonuja, to rodzime cygańskie pieśni, melodie oraz obowiązkowe węgierskie czardaszki. Czasem, jeśli ich specjalnie o to poprosić, zagraja któraś ze starych cygańskich pieśni, jakich inni Cyganie już nawet nie pamietaja — jak choćby ta, która wcześniej przytoczyłem.

Graja ze słuchu, z pamięci, nie z nut. Stare cygańskie melodie przetrwały bez zapisu, przekazywane z pokolenia na pokolenie „na ucho". Nie zbierają się na próby, nie ćwicza przed wyjazdami na występy. Byłoby to zresztą trochę kłopotliwe, bowiem mieszkają w różnych miejscowościach: Pućaki, Waśko i Czalczani w Ziębicach, Byka we Wrocławiu, a Foti w Bielsku—Białej. Przed wyjazdem zbierają się u jednego z nich, szybko ustalają trasę i ruszają w drogę.

PODOBA SIĘ IM ŁÓDŹ

Gdzie muzykują, jakie są trasy ich kapelanckich wędrówek? Tuż po wojnie, w 1948r., ich rodzinna kapela zaczęła grywać w Łodzi, choć w zupełnie innym wówczas składzie. Do Łodzi przyjeżdżali na kilkudniowe występy, bo tutaj mieli znajomych, a właściwie byli to znajomi ich nieżyjącego już stryja, który z kilku łodzianami przeżył hitlerowskie piekło w jednym z obozów zagłady. Ci znajomi załatwiali cygańskim muzykom prace u właścicieli czy kierowników różnych lokali, restauracji, knajpek, których sporo było w Łodzi, nie tak bardzo przecież spustoszonej przez wojnę. Ta praca to oczywiście muzykowanie. Cygańscy grajkowie mieli stanowić egzotyczna atrakcję lokali, zwłaszcza prywatnych. U znajomych także nocowali podczas kolejnych przyjazdów, absolutnie darmo. Hej, to były czasy!

Później po drodze do Łodzi zaczęli zatrzymywać się na jakiś czas w Kaliszu, Sieradzu, Zduńskiej Woli. Potem doszła Częstochowa, Kielce, Rzeszów i wreszcie po prostu im się podoba. To miasto jest dla nich swojskie, przytulne. Dużo tu lokali, gdzie można pograć i zarobić parę groszy. Przede wszystkim zaś ludzie są tutaj bardzo sympatyczni dla nich, dla Cyganów. Tu się ich nie wytyka palcem, nie wydziwia, a oni bardzo sobie cenią ludzka życzliwość. Tutaj też mają wielu starych i nowych przyjaciół, nie są więc zupełnie obcy, czują się bezpiecznie, dobrze.

W Łodzi też mogą najwięcej zarobić, choć w ogóle to nie tak wiele zarabiają na tym swoim muzykowaniu. Ale niekiedy trafi się wyjątkowa okazja, jak choćby w ostatni „sylwester". Całą noc grali w łódzkim „Peszcie" ku ogromnemu zadowoleniu kierownictwa lokalu i balujących gości. Piękna była zabawa i ładnie też wtedy zarobili.

Czasem trafi się jakieś nagranie radiowe, jakiś epizod w filmie. Bywa, że zagraja i na weselu, ale to tylko wyjątkowo, jeśli trafia na odpowiednich gości. Z tym są ostrożni, bo ludzie potrafia być niezbyt mili, kiedy sobie popiją, a na weselach ciągle pije się o wiele za dużo.

Wędrują więc po kraju, muzykują i tak sobie żyją. Nie myślą o jakiejś stałej pracy gdzieś w zakładzie. To nie dla nich, choć wielu Cyganów już tak pracuje. Oni jednak wolą swoje wędrówki. Tylko to jeszcze zostało im dzisiaj z dawnej cygańskiej swobody. Wiedzą, że czasy się zmieniają i rozumieją to, owszem. Oni też przecież mają stałe mieszkania, meble, telewizory. To jest dobre, to dużo lepsze niż dawne legianki, czy nocleg pod gołym niebem. Ale cały czas siedzieć w domu? Nie, tego nie wytrzymują. Ciągnie ich w świat, do ludzi, po przygodę. Więc ciągle jeszcze jeżdżą po kraju i muzykują. Prawdziwy Cygan tak musi, inaczej nie może.

ŻYJE SIĘ INACZEJ

Czy dzisiaj są jeszcze prawdziwi Cyganie? Milczą, ale widać, że to pytanie nie jest dla nich zaskoczeniem. Waśko chwilę drapie się po głowie, potem mówi:

— Wiesz, Zbyszko, sami się nad tym zastanawiamy. Inne teraz czasy niż kiedyś, inaczej mieszkamy, inaczej żyjemy. Nasze dzieci chodzą do szkoły, uczą się czytać, pisać, kształcą się. To bardzo dobrze. Szkoła to dużo, daje możliwości lepszego życia. Naszym dzieciom na pewno będzie się żyło lepiej niż nam, z całą pewnością. To bardzo dobrze. Ale w nas ciągle żyje jeszcze ta nasza cygańska dusza, wolna ciekawa świata i ludzi ciągnąca gdzieś w nieznane. Ja nawet gdy siedzę w domu, to lubię patrzeć przez okno na ulice, na drogę, bo droga prowadzi w świat. I tak nie wiem, czy my dzisiaj jeszcze prawdziwi Cyganie, czy niezupełnie. Ale chyba tak, bo Cygan to taka specjalna dusza w człowieku jaką jeszcze dziś mamy. Dopóki mieć ją będziemy, póty będą prawdziwi Cyganie — ćaćune Roma.

Jakie mają marzenia?

Niewielkie. Radośnie witać każdy dzień i żegnać go szczęśliwie. Prawda, że to niewiele?

Czas kończyć pogawędkę. Moi rozmówcy po kilkudniowym pobycie w Łodzi chcą wracać do domu — do żon, dzieci, rodzin. Spieszą się na pociąg. Ale za kilka dni może spotkamy się, bo przyjadą znowu. Będą przecież tak wędrować po świecie ze swoją cygańską muzyką, póki starczy im sił i zdrowia, dopóki ich dusze będą wolne cygańskie.

Więc w drogę! Bachtało drom, Romale, bachtało drom!

Foto: W. Parys

O WZRUSZENIU

„...gdzie byś się nie obrócił i dokąd byś nie poszedł, przypomną ci się w tym mieście ślady, jakie zostawiłeś i które ty tylko pamiętasz (...) pamięć ludzka jest trwała, nawet — rzec by można — rozciągliwa i po jakimś czasie gotowa przypisać ci o wiele więcej niż to, co ty sam w niej zapisałeś...". Wyglądają te słowa, jakby przeniesione z Dzienników Żeromskiego: „Kielce, taka nieskończoność przypomnień...". A to są pierwsze zdania nowej powieści Jana Marii Gisgena, wydanej pod koniec ubiegłego roku przez Spółdzielnię „Czytelnik". Powieść nosi tytuł: „Czas słyszany po latach".

O jaki czas tu chodzi? Są to lata pięćdziesiąte. Czas gorący w wydarzenia, ostrych polemik, walki klasowej. Jeden z bohaterów notuje: „Walka klasowa trwa. Wróg jest palcem wskazany, widoczny i najczęściej się nawet nie ukrywa, bo gdzie jak gdzie, ale we wsiach wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi". Nieco dalej bohater, aktywista młodzieżowy, zaczyna stawiać pytania: „Jak to sobie uporządkować? Bo schemat układów społecznych we wsiach, tak jasny i prosty w wypowiedziach polityków, w teoretycznych założeniach, tutaj — w zetknięciu z ludźmi, z ich drobnymi, lecz ważnymi problemami, staje się nagle zawiły, sprawy bywają tak skomplikowane międzyludzkimi układami, że daremny zaczyna wydawać się mozół nas młodych, tych z pierwszych szeregów rozwiązania ich jednym przyjazdem, jednym przemówieniem, często z konieczności uproszczonym, albo najbardziej zaangażowanym i namiętnym".

Oto fragment rozmowy na zebraniu wiejskim, na które przyjechał nasz bohater. Na zebranie przyszły same kobiety. Bohater zadaje pytanie, dlaczego nie pojawił się nikt z mężczyzn. „Bo nas nikt zabrać nie może", słyszy odpowiedź. Okazuje się, że poprzedni prelegent straszył i groził, że władze się rozprawia ze wsią, „która nie chce iść z nowym ustrojem". „Więc kiedy sołtys onegdaj ogłosił, że z województwa ma przyjechać komunista, tośmy się zebrali na naradę i uchwalili: jak komunista, to znaczy się władza. Jak władza to przyjedzie nie sam. I wtedy może być krucho. Żeby więc do tego nie doszło, trzeba było ze wsi usunąć ludzi i cały ich dobytek. I tak to się stało". W tym zapisie jest ukryte wiele ludzkich dramatów.

Jest ten czas zapisany jeszcze inaczej. Jeden z bohaterów przechowuje różne drobne pamiątki z dawnych okresów. Znajduje się wśród nich szpilka z huty „Bierut", szpilka z herbem Gdańska, szpila z biało-czerwoną emalią, na której figurował Gryf szczeciński, znaczek dawnego Związku Byłych Więźniów politycznych w biało-niebieskie paski, pocięte kolczastym drutem, z czerwonym małym trójkącikiem i literą P w środku, gwóźdź nie wbity w jakiś sztandar, srebrny trójkąt z symbolami plastyków i artystów scen, oznaki zjazdów, związków, towarzystw i miniaturki orderów. Temu już dzisiaj przeszłemu czasowi towarzyszy czas zaprzeszły. Jeden z bohaterów powiada: „Mam złoty otwierany medalionik kobiecy na cieniutkim łańcuszku, w którego wnętrzu znajdują się dwie maleńkie fotografijki, niewątpliwie dwóch braci powstańców z tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku. Jestem w posiadaniu srebrnego medalionu z Orłem i Pogonią z tego samego roku; mam hebanowy krzyżyk ozdobiony palmą męczeństwa, który wtedy kobiety nosiły zawieszony na szyi na czarnej aksamitce, srebrny pierścień z herbem Polski i złamanym krzyżem, żelazne spinki wykute z kajdan z datą 1863.

Oto czasy słyszane po latach. Z czasem — jak z popiołem, który wydaje się być w piecu wyziębły i szary, ale kiedy go poruszysz patykiem, okaże się, że w środku tli się żar. To są słowa pisarza. W czasie, w którym przezwyciężano kult jednostki, bohater powieści, autor pamiętnika, powiada: „W codziennym naszym doświadczeniu przenikają się nawzajem wiedza, pamięć i wyobraźnia. I one w wielości, i one w jedności bogacą poznanie i postrzeganie (...), i pozwalają na wnioski nie przedrzeźniane, lecz czyste, nie echa, ale prawdziwe głosy godne zapamiętania'.

Powieść Gisgesa jest odważna. Prowokuje do dyskusji. Zmusza do rachunku sumienia. Autor pokazuje naszą metrykę, a w metryce, o ile jest sumienna i rzeczowa, zapisane jest wszystko, i to, co było dobre, do czego należy nawiązywać, i to, co zostało przezwyciężone; albo jeszcze się przezwycięża. Leon Kruczkowski mówił przed laty na Sesji Rady Kultury i Sztuki: „Nic nie upraszczać i nic nie przemilczać". „Tylko wówczas uwierzą nam i przyjmą nasze widzenie za swoje". W powieści Gisgesa nic nie jest przemilczane i nic nie jest uproszczone. Nic tam nie jest zakryte. Jego widzenie jest pełne. W jednym z wywiadów autor „Czasu" powiada, że jego powieść poświęcona jest młodym. Problemom, dramatom i tragediom młodych zafascynowanych współczesnością, borykających się z czasem, w jakim im przyszło żyć" („Nowiny", 31 grudnia 1977 r.). Gisges nie stawia muru pomiędzy czasami. Istnieje ciągłość pomiędzy dniem wczorajszym i dzisiejszym, nie można się uwolnić od odpowiedzialności za wczoraj. W czasie wczorajszym były rzucane ziarna, które wzrastają dzisiaj. Autor „Czasu słyszanego po latach" należy do tych (chyba nielicznych) pisarzy, którzy potrafią równie swobodnie opisywać przeszłość jak i teraźniejszość. Przedstawiając dawne wydarzenia zmusza czytelnika do patrzenia na nie, jakby tam był obecny i przeżywał je na nowo. Jednocześnie zmusza go do oceny tych wydarzeń z punktu widzenia dnia dzisiejszego. Patrzymy na tę przeszłość wzbogaceni o doświadczenia i wiedzę współczesną. Czy zawsze pozwala nam to na sformułowanie jasnego sądu? Nie, i w tym leży wartość tej prozy, prowokującej czytelnika do budowania własnych ocen i do odkrywania takich miejsc, które można by nazwać „niedomówieniem artystycznym". Owe „niedomówienia" stanowią także o wartości tej pięknej i madrej prozy.

Sięgnąłem po tę książkę ze wzruszeniem. Nie tylko dlatego, że Gisges jest znanym i cenionym poetą i prozaikiem. Nazwisko autora „Czasu słyszanego po latach" wywołuje wspomnienia kieleckie, jeszcze sprzed wojny, kojarzy się ze szkołami tamtejszymi z pismami szkolnymi, które wtedy zaczynały się ukazywać i gdzie zamieszczaliśmy pierwsze swoje wypowiedzi, a Gisges był znany ze swojego pióra. Był to rok 1933 i 1934. Nie ograniczaliśmy się przecież do redagowania i pisania. Działaliśmy także społecznie (to echa lektur Żeromskiego), zachodziliśmy do fabryk z wykładami (z literatury i historii) i tu w różny sposób krzyżowały się nasze drogi. Gisges pisze o innym czasie, ale ślady tamtego czasu, kieleckiego, w postawach i zachowaniu się niektórych bohaterów można także odnaleźć. Dlatego piszę o wzruszeniu.

TADEUSZ PAPIER

KRZAK JAŁOWCA

Klemens Oleksik, poeta i prozaik, w czterdziestych latach związany z nurtem chłopskim literatury i członek byłego Oddziału Wiejskiego Związku Literatów, od wielu lat mieszkający i tworzący w Olsztynie, nie jest twórcą nazbyt dostrzeganym przez społeczność pisarską w kraju. Przyczyna tego stanu rzeczy nie tkwi bynajmniej w niedostatkach pracowitości, talentu czy, powiedzmy, praktykowania zaniżonych wymagań wobec własnego pióra. Przeciwnie, mamy do czynienia z pisarzem bardzo uzdolnionym i traktującym swój obowiązek człowieka pióra z najwyższą powagą. Przyczyny niezauważania są jak najbardziej powszednie: skromność i nieśmiałość autora, ściślej, brak chęci i dyspozycji do celebrowania własnej osoby i dokonań.

Najnowsza powieść Oleksika, jak dotąd, zyskała bodaj tylko recenzję w „Faktach", typu: „nic szczególnego" — i nie trzeba być prorokiem, by przewidzieć, że nie zostanie okrzyknięta bestsellerem. A przecież jest to książka jak najbardziej godna zauważenia. I dlatego że podejmuje temat całkowicie dotąd przez naszą literaturę współczesną pomijany i podchodzi do niego z niezwykłym opanowaniem, taktem i bez uproszczeń. I dlatego, że, choć nie bez pewnych skaz, jest dziełem dużej piękności.

Owym śmiało podjętym tematem jest sprawa wyjazdów do RFN części autochtonicznej ludności mazurskiej w ramach akcji łączenia rodzin i w ogóle problem opowiedzenia się za jedną z dwóch ojczyzn w sytuacji, gdy na zachód popychają niejednego autochtona tak silne wektory, jak tęsknota za częścią rodziny, która znalazła się tam, resentymenty i pamięć błędów popełnionych przy zasiedlaniu tych ziem oraz w okresie minionym.

Oleksik podchodzi do problemu ze zrozumieniem dla wagi tych ciężarów psychicznych, bez gniewów, rzucania anathem czy literackiego zdziwienia, że nie przeważają w takich momentach szali owe tak często eksponowane przez literaturę kafle z napisami polskimi w starych chatach czy z gotycka polskie kancjonały. Oleksik nie ucieka się też do takich ułatwień w rozstrząsaniu problemu w sposób zgodny z naszym rozumieniem celności i błędów wyboru, jak ukazywanie z kolei zawodu i rozgoryczenia Mazurów, którzy, miast do wyidealizowanej arkadii, trafiają na przykład do obozów przejściowych. Przeciwnie, ukazuje nam w dalszych partiach powieści tych, co tam wyjechali jako ludzi już ustabilizowanych, cieszących się względnym dobrobytem, wżytych w otoczenie, a tęskniących tylko za Olsztyńskiem jak się tylko tęskni, sentymentalnie i biernie, i coraz mgliściej, za krajem lat dziecinnych.

A przecież mimo to obraz tak zarysowany przez Olesika, choć daleki od grzecznego gazetowego optymizmu, wcale nie jest w ostatecznej wymowie pesymistyczny. Przeciwnie. Autor „Krzaku jałowca" poprzez zawiłe losy Waltiego Kraski wcielonego do Wehrmachtu w ostatniej fazie wojny, (gdy hitlerowcy wysyłali już na front wyrostków) a potem polskiego maturzysty i poprzez zbiorowy portret jego młodzieżowego otoczenia, zarówno z rodzin tamtejszych jak i napływowych, przybliża nam dwie prawdy: 1. że najwartościowsi przedstawiciele pokolenia młodych ostatecznie wybrało, acz nie bez walki wewnętrznej, ojczyznę — Polskę, 2. że młodzież autochtoniczna i napływowa stosunkowo szybko scala się w jedno środowisko i animozje pochodzeniowe czy kulturowe nikną wraz z przechodzeniem pałeczki w sztafecie pokoleń.

Epicki spokój, jaki zachowuje Oleksik czy to w ukazywaniu scen exodusu, czy poprzez brak odautorskiej dezaprobaty dla decyzji Waltiego, by wyjechać na czasowy pobyt na Zachód do matki i tam ostatecznie spytać się najkategoryczniej serca o własną przynależność narodową za echt-germańskie — matki, która decyduje się z całą świadomością na wyjście za mąż za mordercę swego męża antyhitlerowca, „obciążonego" ponadto etnicznym sentymentem do Polski. Przeczy też temu z brutalną plastyką nakreślony obraz bitewnej masakry.

A zatem, zsumujmy: „Krzak jałowca" — i w tym leży odważne nowatorstwo powieści — udowadnia sobą, iż jest możliwe mówienie o t a m t y c h sprawach z pozycji patriotycznych, a przecież bez podnoszenia głosu, nie panowania nad emocjami i bez retoryki politycznej. Nie tylko możliwe, lecz nie mniej przejmujące. Drugim artystycznym sukcesem książki jest dokonanie sztuki — tradycyjnie uznawanej za mało możliwą — nadania pełni życia postaciom pozytywnym — obojgu młodym, Waltiemu i jego dziewczynie z inteligenckiej, przybyłej z centralnej Polski rodziny. Dodajmy, że rodzina Anki nie żywi wobec zagubionego autochtona klasowych czy etnicznych uprzedzeń, nie prześladuje więc młodej pary duch Capulettich. We wzajemnych stosunkach młodych nie ma od początku nawet cienia tak modnej dziś jako konwencja podrywania czy obcowania ze sobą obu płci — brutalności. Są wobec siebie całkowicie lojalni w mowie i w myślach. Nieśmiałość i pewna „nienowoczesność" nie tylko nie pozwala im spełnić, ale nawet i wyznać miłości. A przecież obie postacie nie zaszeleściły ani razu papierem i zostały przez autora obdarzone rzadkim darem przywiązania do siebie czytelnika.

Przyjemnie jest recenzentowi pochwalić autora za piękną polszczyznę, szlachetną prostotę składni, a także częste wywodzące się z dobrej szkoły Stanisława Czernika budowanie obrazu artystycznego poprzez odwołanie się do wrażenia zmysłowego bliskiego wrażeniu dziecka.

Zatem powieść dobra, ale jak w piosence góralskiej o bacy, co „dobrych chłopców na zbój miał", byłaby lepsza, gdyby...

Gdyby autor nie przesadzał niekiedy w zwięzłości i z zaadaptowanej z poezji współczesnej estetyce niedopowiedzeń. Dla efektu niedopowiedzenia Oleksik zrezygnował na przykład z przedstawienia momentu, gdy w Waltim dojrzał w pełni Polak i doszło do jego odjazdu z zachodnioniemieckiego Obersee. W końcowej scenie, gdy bohater znalazł się z powrotem w ojczyźnie, w rodzinnych stronach, tylko z zachowania się łabędzi na wodzie możemy się domyślić (notabene bez pewności, czy trafnie), że to nadpływa kajakiem Anka. Szkoda też, że Oleksik zmącił poetykę utworu niepotrzebną sceną homoseksualistyczną. Nie wyszła też mu scena spotkania w Obersee Waltiego z Bardochem, mordercą jego ojca. Obszerna ta scena jest sztuczna, właśnie w złym tego słowa znaczeniu literacka, przy czym panowanie nad sobą Waltiego jest irytująco arcywzorowe.

Ale w sumie książka jest niebanalna, zwycięska w swej opozycji wobec schematu i, jak wspomniałem na wstępie, dużej urody.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Klemens Oleksik „Krzak jałowca", Olsztyn 1977, „Pojezierze", Cena zł 30.

ROMANTYCZNA MIŁOŚĆ

Słowo romans, kojarzące się dziś najczęściej z miłosną przygodą, oznacza także jeden z podstawowych gatunków epickich, bezpośrednio poprzedzający powstanie i rozwój powieści nowożytnej. W tradycyjnym romansie przeważał schemat rozłąki kochanków, którzy po niezliczonych przygodach i trudach odnajdują się, łączą, żyją długo i szczęśliwie. W romansie współczesnym jest zazwyczaj odwrotnie: po krótkotrwałym szczęściu kochankowie rozstają się na zawsze i — jeśli mają na to tylko czas i ochotę — rozpamiętują swą miłość, z minionych wydarzeń wyławiają przyczyny uczuciowej klęski.

Tak właśnie jest w powieści Marty Tomaszewskiej. Trzymiesięczna burzliwa miłość pisarza Jana Wrońskiego do wyjątkowo atrakcyjnej intelektualnie i ponętnej fizycznie (mimo posiadania dorosłych dzieci) pani docent Marty Oborskiej wywołuje w porzuconym kochanku garść refleksji na stronie trzysta. Brzmi to złośliwie, ale — niestety — taka jest prawda. Książka Tomaszewskiej jest po prostu rozgadana, by nie rzec przegadana. Gdyby przyszło określić ją cytatami, wyrwanymi wprawdzie z kontekstu, lecz w sposób nie złośliwy i nie krzywdzący autorki, to powiedzieć można, że „Nocą po dniu miłości" jest „wartką rzeką słów" (s. 152), wzbogaconą „autentyczną rzeką skojarzeń" (s. 44). Wynika to stąd po prostu, że Tomaszewska w obawie przed schematami, stereotypami i uproszczeniami w przedstawianiu tematu odwiecznego, popadła w: drugą skrajność — prawdziwa miłość Jana Wrońskiego utonęła w nawale słów i nadmiarze nie zawsze potrzebnych skojarzeń. Chyba że usprawiedliwiać miały one zawodowe zainteresowania pani docent Oborskiej, zajmującej się psychoanalizą.

Oboje poszukują w swych uczuciach nadzwyczajności, i to nie tylko w każdym przejawie myśli, ale również otoczenia. Akcja książki rozgrywa się tedy w Szwajcarii, Hiszpanii i Francji, w atrakcyjnych turystycznych miejscowościach, hotelach, a także częściowo w szpitalu wariatów, gdzie znakomita lekarka załatwia tymczasową pracę znanemu polskiemu pisarzowi. Ten ostatni tak nastawił się na niecodzienność całej sytuacji, iż waha się, czy puścić w niepamięć zestaw menu spożywanego w momencie podejmowania pierwszej decyzji o rozstaniu. Ale na wszelki wypadek notuje i faktowi temu zawdzięcza tytułu niniejsza recenzja.

Przesadna i nużąca wydaje się skłonność do zbyt naciąganej nieraz symboliki snów, do wplatania w tok narracji natchnionych wierszy Wrońskiego, które nie zawsze pewnie znalazłyby się nawet w debiutanckim tomiku, taniością chwytu razi zaś umieszczenie jednego z końcowych fragmentów akcji w miasteczku o jakże wymownej nazwie Les Amoureux.

Skoro zacząłem od rejestru pretensji pod adresem autorki, dołączę jeszcze uwagę skierowaną do redaktora. Spotyka się bowiem w tekście rażące nieporadności stylistyczne. Na przykład zdanie „pacjent Włoch prawie nie mówił po francusku, mówił po swojemu, czyli po włosku" (s. 119) czy fragment bełkotliwego monologu wewnętrznego: „...po prostu chciałem się przejść nadbrzeżnym bulwarem, pochodzić pieszo po mieście, stale jeździliśmy, a ja chciałem pochodzić pieszo, jak lubię, tego mi bardzo brakowało, Marto, spacerów z tobą, ale ty z tych, co nawet na róg po papierosy samochodem, jesteś spod znaku Ryby, masz słabe nogi, ja jestem Baran, to zupełnie inna para kaloszy, woda i ogień, wiem, że się wygłupiam, a ty wiesz dlaczego, powygłupiać się nie wolno...".

Mimo niedociągnięcia i słabości powieść Marty Tomaszewskiej na lekturę zasługuje — opowiada przecież o Miłości, o tęsknocie do wielkiego uczucia, o jego spełnieniu i o bólu, który tak często niezwyczajnym namiętnościom towarzyszy. Nie daje jednak odpowiedzi na problem, jak to się dzieje, że uczucie może zbyt szybko się wypalić, że wystarczy chwila, by wszystko diabli wzięli. Głębokość psychoanalizy dokonywanej przez parę bohaterów—intelektualistów jest pozorna i jakby na pokaz — tak naprawdę niewiele z niej wynika, tak po prostu „błyskotkami ludzi". Szkoda. Sam pomysł jest przecież interesujący, ale w obróbce jego wyczuwam szkodliwy w takich przypadkach dziennikarski pośpiech.

Kolejne literackie studium miłości nie jest z pewnością czytelniczym wydarzeniem. Zdawał sobie z tego sprawę i wydawca, skoro, umieszczając rzecz w poczytnej i ciekawej edytorsko serii, zdecydował się tylko na podstawowy dla tego gatunku literackiego nakład.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

M. Tomaszewska, Nocą po dniu miłości, PIW, Warszawa 1977, nakład 10.000+290 egz., cena zł 38.—

OBECNOŚĆ

Kazimierz Dejmek pokusił się o inscenizację na Małej Sali Teatru Nowego wyboru tekstów publicystycznych i poetyckich Słonimskiego. Tych dwóch artystów łączy bowiem przekonanie o konieczności zaangażowania działalności artystycznej w naszą codzienność mimo różnicy zapatrywań na wiele problemów przez czasy nasze niesionych. O ile przemyślenia Słonimskiego wyrastały z heroicznej moralistyki właściwej dla liebaralizmu XX-wiecznego, to formuła teatru Dejmka wywodzi się raczej z etycznego pragmatyzmu w najlepszym zresztą sensie tego słowa. Dejmek jest artystą teatru i zdaje sobie sprawę, że sztuka ta — ze względu na fakt jej historycznej przemijalności — ma szansę oddziaływania tylko wtedy, kiedy podejmuje problematykę aktualną. Na tym polega pragmatyka teatru, którą twórca teatralny musi mieć na względzie nawet wtedy, gdy wybiera do inscenizacji klasykę dramaturgiczną. Tym bardziej wzgląd ten musi ważyć przy zamierzeniu przeniesienia na scenę montażu tekstu poetyckiego i publicystycznego. Widzów literacko-teatralny oparty na takich właśnie tekstach Antoniego Słonimskiego przekonuje nas o tym w sposób całkowity.

Wybór tekstów, dokonany przez Dejmka dla celów spektaklu, ewokuje trzy kręgi tematyczne. W ramach każdego z nich istnieje ścieranie się racji, wyrastające z dyskursu, jaki pisarz prowadzi z samym sobą i odbiorcą. Niemal każdy utwór jest prezentacją niejednoznaczności racji poszczególnej; jej słuszność uzyskiwana jest jedynie przez konfrontację, z racją, która wydaje się być tej pierwszej przeciwną. Postawa zaangażowania i aktywnej obecności człowieka w życiu polega na ustawicznym konfrontacji takiej dokonywaniu.

Pierwszym z podejmowanych przez spektakl kręgów tematycznych jest problem patriotyzmu i kosmopolityzmu. Zestawiając ze sobą te dwie postawy przestrzega Słonimski przed wyrodzeniem się pierwszej z nich w nacjonalizm i szowinizm, a drugiej — w brak zainteresowania losami własnej ojczyzny. Tej problematyce poświęcona jest głównie część pierwsza przedstawienia, w której programową rolę spełniają wiersze: „Dwie ojczyzny" i „Ten jest z ojczyzny mojej".

Przedstawienie kończy grupa tekstów („O nietolerancji", „Sąd nad Don Kichotem"), w których skonfrontowane zostają dwie postawy: nietolerancja i liberalizm. Proponowana formuła tolerancji jako rozumnego kompromisu w stosunkach społecznych i międzyludzkich wyrastać się zdaje ze szlachetnego złudzenia dwudziestowiecznego klerka choć jest to formuła, którą człowiek winien przyjąć, nie chcąc zaprzeczyć własnemu człowieczeństwu.

Przedstawienie Kazimierza Dejmka nie jest widowiskiem teatralnym; jest — jak nazwał je reżyser — wieczorem literacko-teatralnym. Jest spektaklem o charakterze recytatorskim, w którym najważniejszy jest sposób podawania słowa poetyckiego, umiejętne rozłożenie akcentów i właściwe podkreślenie tych treści, które skłaniają odbiorcę do przemyśleń o sprawach istotnych dla niego jako członka społeczeństwa, żyjącego w określonym czasie historycznym i uwikłanego w problemy tego czasu.

Temu zadaniu starał się sprostać zespół aktorski, biorący udział w spektaklu: **Róża Czaplewska, Danuta Mniewska, Izabella Pieńkowska, Seweryn Butrym, Józef Duriasz i Janusz Peszek.** Wyróżnić wśród nich należy przede wszystkim Józefa Duriasza, w którego ustach teksty Słonimskiego brzmiały najbardziej przekonująco i wyraziście (piękna recytacja wiersza „Shakespeare"!). Wydaje się, że uczestnictwo w spektaklach poetyckich, uporczywie podejmowanych przez Dejmka na Małej Scenie, sprawia, że aktorów Teatru Nowego tak doskonale słychać w ostatnich rzędach Dużej Sceny. Ponadto umiejętność odczytania sensów tekstu poetyckiego jest niewątpliwie pomocna przy interpretowaniu przez nich roli dramaturgicznej. Lansując w swoim teatrze repertuar poetycki osiąga więc Dejmek dwa cele: szkoli aktorów i przyzwyczaja widza łódzkiego do odbioru nie zawsze łatwych tekstów literackich. W poezji współczesnej odnajduje Dejmek treści, które korespondują z jego koncepcją teatru zaangażowanego. Zaangażowanego w to, by nasza obecność w świecie nie wyrażała się zmową obojętnych. Obojętni bowiem mogą być wykorzystywani przez tych, którym jedynie osobiste interesy nie są obojętne. Być o b e c n y m w świecie, to znaczy podjąć walkę o pryncypia. Przegrana w tej walce jest mniej rozpaczliwa, niż porażka w potyczkach o partykularyzmy.

Teatr Nowy. Antoni Słonimski: „Obecność". Wieczór literacko-teatralny w dwóch częściach. Wybór tekstów i opracowanie sceniczne: **Kazimierz Dejmek.** Scenografia: **Iwona Zaborowska.** Opracowanie muzyczne fragmentami utworów **Karola Szymanowskiego: Anna Płoszaj.** Premiera 24.XI.1977.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

NA ZACHÓD OD ŁABY

Amerykańskie mafie mają swoich „godfathers".

Chińskie mafie też mają swych ojców chrzestnych. Ten najważniejszy urzęduje w Hongkongu. Mniej ważni rozsiedli się w Paryżu, Londynie i Amsterdamie. Paryska policja wywąchała, że francuski sztab „triads" tajnej chińskiej korporacji, mieści się przy ulicy des Gravilliers. Policja o tym wie. Lecz jest bezradna. Ofiary z dzielnicy Marais milczą. Wolą mafii składać kornie haracz, niż się narazić na krwawe represje. Policja niby wie, ale nic zdziałać nie może. Gdzie dowody, monsieur...

Chińscy gangsterzy opanowali w londyńskiej dzielnicy Soho kina, restauracje, lokale rozrywkowe. Scotland-Yard o tym wie. Scotland wielu rzeczy się domyśla. Scotland-Yard utworzył zgoła wydzielony oddział „drugs-squad" do zwalczania chińskich mafioso. Tajne korporacje chińskie, tak zwane „triads" kontrolują nocne życie w Soho. Kontrolują przede wszystkim handel narkotykami. Ich specjalność to przemyt do Londynu heroiny z Singapuru. W tym celują. I są nieuchwytni.

Jeszcze tak się nie zdarzyło, by Chińczyk wydał Chińczyka.

Chińczycy tworzą w londyńskiej dzielnicy Soho najbardziej nieprzeniknioną, najbardziej zamkniętą i najbardziej od wszystkich odizolowaną społeczność. Chińczyk interesy załatwia po angielsku. Lecz w domu Chińczyk mówi tylko po chińsku. Chińczyk nigdy i nigdzie się nie asymiluje. Chińczyk pozostaje Chińczykiem. A jeśli dojdzie do zdrady, jeśli dojdzie do nieposłuszeństwa, względnie nawet buntu wobec poleceń „triads", wówczas chińska mafia działa szybko i nieubłaganie. Przecież w czasie ceremoniału wyższego już wtajemniczenia w gronie tajnej korporacji obowiązuje przysięga. Kandydat do „triads" wypowiada brzemienne niekiedy w tragiczne skutki słowa — „Nigdy nie wydam sekretów. Jeśli to uczynię, przeszyje mnie miliard mściwych mieczy..."

Istotnie.

Chińska mafia nie żartuje.

Do jednego z kin w Soho, w którym wyświetlano film w języku chińskim, wpadła grupa z gangu Wo-Shing-Wo. Na oczach kilkuset Chińczyków gangsterzy rozsiekali mieczem dwóch członków z grupy „14 K", bandy niejako bezpośrednio podległej centrali w Hongkongu. I co? Milczenie. Nikt nic nie widział. Nikt nic nie słyszał. Kilkuset Chińczyków na sali obecnych nagle ogłuchło i raptem oślepło. Nie ma świadków. Nie ma zeznań. Strach przed zemstą wszechpotężnych „triads", rozdzielonych widocznie w rywalizujące ze sobą gangi, jest paraliżujący. Odbiera mowę.

Scotland-Yard jednak triumfuje.

Po wielu zabiegach londyńskiej policji udało się przymknąć młodą Chinkę. May Wong przyznała się, że owszem, działała w przemycie heroiny. Co dalej? Przyszłość okaże. Być może wielu chińskich gangsterów z Soho pójdzie za kratki. To prawdopodobne. Ale to niczego nie załatwi. Chińska mafia jest niczym hydra. Jedną głowę odetniesz, druga odrasta. W Amsterdamie aresztowano i deportowano w ostatnich kilku miesiącach 800 chińskich gangsterów ze starej dzielnicy przyportowej. I co? Mafia znów jest w rozkwicie. Do głosu doszły rezerwy. Amsterdam pozostał Amsterdamem. Jest obok Londynu europejskim centrum handlu narkotykami.

Wprawdzie ryzyko jest duże, ale zyski bajeczne.

May Wong, łączniczka na linii Londyn — Hongkong, wyznała, że za kilogram heroiny w Singapurze płaci się 25 tysięcy dolarów. Ten kilogram porozdzielany na mikroskopijne dawki narkotyczne, przynosi w Soho przeszło dwa miliony dolarów. Czy warto zatem ryzykować. Oczywiście. Ryzykantów nigdy nie zabraknie. Za duże to kokosy, by mogły ujść czujnej uwadze węszących za milionami gangsterów zgrupowanych w międzynarodowej chińskiej „triads".

Swoją drogą ileż w tym wszystkim gryzącej ironii.

To przecież Anglicy w krwawych wojnach narzucili Chińczykom opium. Wojny opiumowe przeszły do historii. Dziś Chińczycy biorą na Anglikach odwet i narzucają im heroinę.

Najciekawsze, że trują londyńczyków środkiem chemicznym, który jest właściwie lekiem. Na przełomie wieków niemieccy chemicy wprowadzili na rynek biały proszek, to jest duacetylmorfinę. To znakomite lekarstwo na kaszel. Z czasem wycofano je z aptek ze względu na uboczne narkotyczne działanie. Bo duacetylmorfina to właśnie nic innego jak heroina. Cóż, wszystko jest bliskie wszystkiemu. Nie ma leku, który by nie był trucizną, jak nie ma trucizny, która by nie była lekiem.

JAN BĄBIŃSKI

J.B. BOKASSA WKŁADA KORONĘ

Jean-Bedel Bokassa został cesarzem Imperium środkowoafrykańskiego. Fakt ten — w istocie swojej paradoksalny w drugiej połowie XX wieku — wywołał wiele ironicznych komentarzy prasy zagranicznej. Oto fragmenty z paryskiego „L'EXPRESS".

Jego wysokość Bokassa Pierwszy, cesarz Środkowej Afryki! Na ten ochrypły ryk megafonu sala zastyga. OTO ON! Cezar! Nie, to August! A może Neron? Odziany w popielatą szatę naszytą milionem pereł, skroń zwieńczona złotym laurem, sunie drobnymi kroczkami w takt skocznego marsza, poprzedzany przez marszałka dworu w zielonej liberii i kapeluszu paradnym, zmierzając w kierunku tronu wyścielanego szkarłatnym aksamitem, przytulnie skrytego w brzuchu złotego orła o gigantycznych skrzydłach.

STUDENT Z KORONĄ

Jej Wysokość Cesarzowa, zapominając, że jest w diademie, usiłowała wsadzić jeszcze na niego koronę, potem, trzymając w ręku zielono oprawną konstytucję, zamilkła na długą chwilę, zanim złożyła przysięgę. Posiała gdzieś okulary i nikt nie mógł ich znaleźć. Ale wszystko poszło dobrze, ku wielkiej uldze mistrza ceremonii, który, skryty za tronem, szeptem podpowiadał Jej Wysokości, co ma kiedy robić. Obyło się bez skandalu.

Nikt też nie wykrył obrzydliwego oszustwa, jakiego dopuścił się Didier Pierwszy, w istocie student prawa z Poitiers, który założył się, że go zaproszą na koronację. Kazał wydrukować odpowiednie wizytówki ozdobione imponującą koroną, wysłał je do marszałka dworu, a ten bez mrugnięcia oka zafundował jemu i jego narzeczonej bilet lotniczy w obie strony, apartament, samochód i miejsce na trybunie honorowej. Student z Poitiers wytrzymał w swojej roli do końca. Był to najpiękniejszy dzień w jego życiu.

Był to również najpiękniejszy dzień w życiu Jean Bedela Bokassy, kiedy tak stał w hieratycznej pozie, w ogromnym płaszczu z czerwonego aksamitu przerabianego złotą nicią, trzymając w ręku berło większe od niego, kiedy jechał całą godzinę do katedry w karocy z gwardią u boku. Zreperowane w ostatniej chwili przez elektryka z piwiarni dzwony i organy witały swymi dźwiękami tego, którego protokół nazywa „Jego Cecarską Wysokością, Bokassą Pierwszym, Cesarzem Kolebki Bantu, Cesarzem Afryki Środkowej, Niekwestionowanym Ojcem Imperium Odrodzenia i Odkompleksienia..."

CESARZ PRZEBIERA SIĘ

Tegoż wieczoru w czasie bankietu występuje w stroju Pierwszego Konsula — złoty diadem wieńczył mu skronie. Był także Ludwikiem Czternastym, otoczonym lokajami dźwigającymi płonące pochodnie i wazy do zupy pełne kawioru. Na jego uśmiechniętej twarzy pląsał odblask kolorowych fontann i ogni sztucznych, które uparcie spadały na gości siejąc panikę.

Następnego dnia objawił się jako Wielki Marszałek cesarstwa, w błękitnym mundurze z trzema złotymi gwiazdami i kapeluszu a'la marszałek Ney, z białą kitą, przyjmując przy dźwiękach wojskowych melodii paradę wojska i narodu. Jakieś sto tysięcy osób maszerowało w nogę ciesząc się świętem. Na czele gigantyczny transparent — „PRZEDSZKOLA" — za nim batalion pędraków. Za nimi, pod nowym transparentem, działaczki partyjne, piękne, krzepkie dziewuchy ostrzyżone na jeża. Potem robotnicy wszelkich branż w nowiutkich ubraniach. A na koniec damska orkiestra w czerwonych mini-spódniczkach i białych botkach. **„Wydarzenie to stanowi miły akcent kończący wiek XX"** — jak powiedział jeden z ministrów.

KOGO ZABRAKŁO?

Na tym przedstawieniu zabrakło jednak trzech głównych aktorów. Po pierwsze papieża. Nie chciał przyjechać, przysłał tylko legata i poparł arcybiskupa Bangi, mons. Joachima N'Dayena, który odmówił namaszczeń, stwierdzając, że koronacja cesarza jest wydarzeniem czysto politycznym, a nie kościelnym.

Zabrakło też Afryki. Nie było żadnego szefa państwa. Nawet jego protektora — Mobutu, nawet jego przyjaciela — Amina. Było tylko dwóch premierów i dużo drugorzędnych polityków. Czuli się wyraźnie skrępowani.

Na szczęście panowie dostawcy przybyli tłumnie i zapełnili puste miejsca, a było ich bardzo wielu. Nie odrzucili przecież żadnego zamówienia, bo w interesie musi być ruch, jasna sprawa. Kolumny, plastikowe orły. Siedem ton kwiatów, tuje, róże. Platery za sześć miłonów franków. 5200 uniformów. Złota suknia cesarzowej. Zegar ścienny cały ze złota — 3,5 kg — który wręczyła cesarzowi. 60 Mercedesów przysłanych samolotem z Kamerunu (a cała reszta z Paryża). 25 tysięcy butelek burgunda. Szampan za 40 milionów w skrzyniach, które na bankiet przydźwigali na plecach więźniowie. Razem 100 milionów franków. Nowych. Natomiast tych kilku Europejczyków należących do dworu, głównie Francuzów, którzy służą radą cesarzowi i przekazują firmom zamówienia za odpowiednią gratyfikację — tych nie było widać. Woleli pozostawać w cieniu.

Naród był trzecim aktorem, którego zabrakło. W poniedziałek tyle osób brało udział w paradzie, że zabrakło widzów. Prawdę mówiąc, poprzedniego dnia też nie było ich dużo. Czy ludzie uznali, że dość już ofiarowali „darowizn", dość „dobrowolnych" składek „na cesarza", potrącanych z pensji, których urzędnicy nie dostają przez całe miesiące? O nim, o narodzie myślał zapewne arcybiskup, kiedy w czasie mszy w katedrze przypomniał o „trudnych realiach". Ale cesarz odpowiedział mu już dawno: „Nie można tworzyć historii bez poświęceń".

Choć nieliczny — naród wydaje się groźny. Samochody pancerne i karabiny maszynowe pozwalają zachować przyzwoity dystans i, jak powiadają, policja rozpuściła groźną pogłoskę, że na czas świąt lepiej siedzieć w domu.

Na przełomie wieku francuscy koloniści zapędzali do niewolniczej pracy tubylców, wśród których głód i epidemie zbierały obfite żniwo. Czarni uciekali w dżunglę, porzucając domostwa i nędzne poletka. Po niewolniczej pracy nastąpiły masowe deportacje na przymusowe roboty przy budowie kolei żelaznej, łączącej Kongo z oceanem. Prawie każdy podkład na jej trasie — to jeden grób. Potem kraj zaczęły grabić zagraniczne przedsiębiorstwa, zmuszając czarnych do zbierania za głodowym wynagrodzeniem kauczuku po lasach, opornych wtrącano do więzienia. Kiedy cywilni administratorzy próbowali protestować — usuwano ich. Andre Gide, zwiedzając te okolice w 1925 roku, spotkał na swej drodze opustoszałe wsie i ubolewał w swych wspomnieniach nad **„zrujnowaniem całego kraju dla zysku kilku osób".** W latach 1928—1931 francuską Afrykę równikową ogarnęła rewolta — została zdławiona, zanim we Francji ktokolwiek się o tym dowiedział.

W 1946 roku Izba Handlowa w Bangi nie zgodziła się na zniesienie robót przymusowych. W rok później **Barthelemy Boganda**, który został potem pierwszym prezydentem Republiki Środkowej Afryki, publicznie potępia okropne warunki, jakie wciąż jeszcze panują w tej krainie — wyzysk, rasizm, przemoc. Boganda znał to z własnego doświadczenia — w latach trzydziestych jego matkę zatłukli na śmierć agenci kompanii kauczukowej. Jego wuj — wódz Mindogon został ścięty w 1927 za to, że stanął w obronie swych współplemieńców. Zostawił sześcioro sierot — wśród nich 6-letniego chłopczyka — **Jean Bedela Bokassę**. Temu szczególnie się poszczęściło — dziadek posłał go do szkoły, a trzeba pamiętać, że jeszcze osiem lat później w całej Afryce Równikowej uczyło się tylko 16 tysięcy czarnych dzieci.

Bokassa nigdy nie przekroczył poziomu szkoły podstawowej. Dziadek posłał go do wojska. Wojsko stało się jego prawdziwą rodziną. Nikt tam nie bił czarnych. W roku 1940 Francuska Afryka Równikowa przyłączyła się do Wolnej Francji — Bokassa wojował po trochu wszędzie, nawet w Indochinach. Otrzymał Legię Honorową, medale i krzyże wojenne, jego jedyne prawdziwe odznaczenia. Znalazł sobie też ojca — de Gaulle'a, którego ubóstwiał. Łzy, które wylewał na jego grobie w Colombey były autentyczne.

Foto: Archiwum

LUDZIE NIE UMIERAJĄ Z GŁODU

W Sylwestra 1965 roku wykorzystał zamach zorganizowany przez kogoś innego. Od tego dnia jego kariera rusza błyskawicznie z miejsca — zostaje prezydentem, potem prezydentem dożywotnim, potem jeszcze marszałkiem. Nie wystarcza mu to jednak, choć już wtedy wystawiał sobie brązowe popiersia. Już 10 lat temu, jak twierdzą świadkowie, w przystępie furii wrzeszczał pewnego razu: **„Mam tego dość. Któregoś dnia ogłoszę monarchię absolutną!"**

I oto już jest. ON, w imperialnej chwale, Cesarz Niewzruszony, wszechobecny, pan życia i śmierci. Wszyscy się teraz boją jego napadów niepohamowanego gniewu, choć gdzie mu się równać z szaleństwem Amina, zresztą ostatnio mniej pije... A jak mu wytłumaczyć, że skarb państwa to nie to samo, co cesarska szkatułka? Nigdy się nie uczył ekonomii. W specjalnym raporcie francuski minister do spraw współpracy potępiał w październiku 1977 r. **„katastrofalny rozwój sytuacji gospodarczej Środkowej Afryki".** Liczba ludności rośnie, a środki, jakimi kraj dysponuje, są wciąż na tym samym poziomie, kraj należy dalej do dwudziestki najbiedniejszych państw świata. Nikt wprawdzie nie mrze z głodu, ale niedożywienie jest powszechne. Pomoc zagraniczna — w połowie francuska — pokrywa trzy czwarte budżetu państwa.

Bokassa jest tak wielkim frankofilem, tak dalece w głębi serca jest wierny staremu systemowi kolonialnemu, że jest w gruncie rzeczy właściwym człowiekiem na właściwym stanowisku. Lepiej mieć w Środkowej Afryce przyjaciela.

Co się jeszcze liczy? Uran, 18 tys. ton, nie tyle, co w Nigrze, ale i tak opłacalne. Zajmują się tym dwaj kuzyni prezydenta Francji. Jeden z nich, Francois Giscard d'Estaing siedział w czasie koronacji w loży honorowej.

Andre Gide wypowiedział kilka zdań nad brzegami Ubangi:

„Nikt nie przyjeżdża tu dla przyjemności. Ci, którzy się na to decydują, mają określony cel. Są tam kupcy, którzy mówią co chcą, urzędnicy, którzy mówią to, co im wolno, a wolno im rozmawiać tylko ze zwierzchnikami, wodzowie trzymani z różnych względów, misjonarze trzymani tam tylko, jeśli umieją milczeć. Trafiają się czasem różne ważne osobistości, które triumfalnie przemierzają kraj i nie mają czasu zobaczyć nawet tego, co chciano by im pokazać".

Ale kto by tego słuchał...

U PRZYJACIÓŁ

Dobiegły końca zdjęcia do dwu ostatnich części epopei filmowej o bohaterskiej, 900-dniowej obronie Leningradu w latach II wojny światowej. Twórcami filmu są reżyser Michaił Jerszow i pisarz Aleksander Czakowski, który opracował scenariusz na podstawie swej książki „Blokada". Pierwsze filmy z tej serii — nakręcone z okazji 30 rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem — wzbudziły ogromne zainteresowanie i były wyświetlane w wielu krajach. W ukończonych właśnie pokazane są, m.in., walki o Wołchow i słynna „Droga życia" przez zamarzłe jezioro Ładoga łącząca oblężone miasto z zapleczem. Cykl kończą sceny przeprowadzonej w styczniu 1943 roku i uwieńczonej sukcesem operacji „Iskra", która doprowadziła do przerwania blokady Leningradu.

W rozmowie z dziennikarzem TASS, M. Jerszow powiedział m.in.: „Blokada" to główny film w mojej twórczości ostatnich lat, wspomnienia o wojnie, której byłem uczestnikiem, a zarazem spłacenie długu wobec tych, którzy zginęli walcząc z faszyzmem. Nie dane mi było walczyć na froncie leningradzkim, walczyłem jednak na innych frontach, w piechocie i w artylerii, i dotarłem do Berlina. Dlatego czułem się uprawniony do podjęcia pracy nad „Blokadą".

A oto, co powiedział o ekranizacji swej książki A. Czakowski: „Wrażenia, jakie sprawia film, są nieporównywalne z tymi, jakich dostarcza lektura. Jednak w przypadku „Blokady" zadecydowały o ekranizacji inne względy, zapragnąłem bowiem spojrzeć na wypadki, w których dane mi było uczestniczyć jako młodemu człowiekowi, z nowej perspektywy trzech dziesięcioleci, jakie od tamtych czasów upłynęły.

☆ ✱ ☆

W przygotowaniach do obchodów 150 rocznicy urodzin Lwa Tołstoja uczestniczą pracownicy muzeum wielkiego pisarza w Jasnej Polanie. Choć rocznica ta przypada dopiero we wrześniu, jednak już teraz ukazują się wydawnictwa opracowane z inicjatywy i staraniem muzeum. Jednym z nich jest album — kalendarz, wydany nakładem „Sowietskiej Rossiji", gdzie można znaleźć mało znane fotografie Lwa Tołstoja, fragmenty jego rękopisów, szczegóły biograficzne, a także wypowiedzi poświęcone autorowi „Anny Kareniny". Trwają też prace nad monumentalną edycją tołstojowskiej bibliografii, której czwarty tom już wkrótce dotrze do rąk czytelników. Przygotowywany jest specjalny almanach pod nazwą „Zbiór jasnopolański". Nakładem wydawnictwa „Planeta" ukaże się album zatytułowany „Tołstoj w Moskwie", w którym przypomni się zarówno pierwszy pobyt 9-letniego Lwa Tołstoja w tym mieście, jak i jego ostatnią podróż w 1909 roku.

Przygotowania nie ograniczają się do wydawnictw. Wytwórnia „Centrnauczfilm" przystąpiła do realizacji filmu pt. „Na niego patrzy świat" konsultowanego przez pracowników naukowych muzeum. W Jasnej Polanie zorganizowano cykl wieczorów pod nazwą „Muzyka w życiu Tołstoja" w których biorą udział wybitni radzieccy artyści. Odbędą się też okolicznościowe sesje naukowe, poświęcone życiu i twórczości Lwa Tołstoja.

☆ ✱ ☆

Miasto słynie ze swej urody, która już dawno temu zyskała mu przydomek „Palmiry Północy". Jest to zarazem metropolia, wielomilionowa, z olbrzymim przemysłem, gospodarka morską, niezliczonymi placówkami nauki, kultury i szkolnictwa wszystkich stopni. Jednym słowem: Leningrad. Co uczynić, aby nie poniosły uszczerbku cieszące się światową sławą kompleksy architektoniczne i znakomite parki - będące dziełami sztuki? — pytanie to zadali urbaniści, pracując nad generalnym planem rozwoju Leningradu. Odpowiedź była jednoznaczna: należy zachować ukształtowaną na przestrzeni stuleci strukturę planistyczną i nieskazitelny wygląd historycznej części miasta. Ustalono tzw. strefy chronionej zabudowy. Tymczasem Leningrad jest wciąż rozległym placem budowy, nieustannie rosną nowe bloki i całe osiedla.

Nad Newą zagadnienia łączenia nowego ze starym pasjonują architektów, plastyków, konserwatorów i specjalistów innych dziedzin. Wszyscy doszli do zgodnego wniosku, że jednak najbardziej celowe byłyby wspomniane już strefy chronione. Szef państwowej inspekcji do spraw ochrony zabytków architektury Komitetu Wykonawczego Leningradzkiej Rady Deputatów Ludowych, I. Sautow, stwierdza, że takie strefy zajęłyby w mieście około 5 tys. ha. Zlokalizowane są przede wszystkim w centrum i na tym terenie istnieje właściwie zakaz prowadzenia nowego budownictwa. Obecnie wyburza się niestylową, pochodzącą z późniejszego okresu zabudowę, zaś zabytkom restauratorzy przywracają pierwotny wygląd, korzystając z dawnych szkiców i opisów.

Co półtorej minuty napad z bronią w ręku, co czterdzieści minut ktoś ginie od kuli — takie liczby podają ostatnie amerykańskie statystyki zbrodni. Wielcy fabrykanci broni, którzy stanowią kręgosłup wojskowo-przemysłowego kompleksu Stanów Zjednoczonych, gwoli pomnożenia i tak już bajecznych zysków, rozszerzają zbyt swojej śmiercionośnej produkcji nie tylko za granicą, lecz także wewnątrz kraju.

USA

POSĘPNA STATYSTYKA ZBRODNI

Liczne filie wiodących zbrojeniowych korporacji, bez jakiejkolwiek kontroli, produkują i sprzedają każdego roku tysiące pistoletów, karabinów i innych rodzajów broni, w którą uzbraja się przestępczy świat USA. Prywatne przedsiębiorstwa produkujące broń oraz kanały, którymi się ją rozprowadza po kraju są otoczone tajemnicą. Policja konfiskuje co roku 250 tysięcy sztuk broni palnej. Jednakże, jeśli przyjąć, że co roku wypuszcza się na rynek i sprzedaje 2 i pół miliona sztuk karabinów i 4 miliony sztuk rewolwerów i pistoletów, to nie może być mowy, ani o zmniejszeniu się ilości broni znajdującej się w prywatnych rękach, ani o spadku przestępczości. W miejsce jednej sztuki broni skonfiskowanej przez policję, fabryki wypuszczają co dwie minuty osiem nowych.

Dane dotyczące rocznej produkcji broni w USA są tylko przypuszczalne i oparte na doniesieniach prasy. Kompanie nie publikują takich informacji, a organa państwowe, mimo zgubnych następstw nieograniczonej sprzedaży broni patrzą na to przez palce. Brak takiej statystyki w kraju, w którym liczy się wszystko — od ilości sprzedanych lodówek do wysokości wpływu ze sprzedaży beletrystyki — jest wprost niewiarygodne. Ilość sprzedawanej broni, jej rodzaje, kto ją sprzedaje, jak się ją transportuje, ile jej ginie i wreszcie do czyich rąk trafia — wszystko to jest wielką niewiadomą. Przez wiele lat głosiciele „rozumnego kontrolowania broni" wychodzili z założenia, że przy popełnianiu zbrodni używa się głównie tanich rewolwerów typu „Saturday night special" („specjalnie na sobotni wieczór" (!)...), jednakże ze skonfiskowanej „kolekcji" wynika, iż zbrodniarze w USA używają najczęściej broni najlepszego gatunku — firmy „Smith and Wesson". Blisko 12 proc. gangsterów używa właśnie tej znakomitej broni. Drugie miejsce zajmuje pistolet firmy „Colt" (11 proc.), dopiero na trzecim miejscu „plasują się" rewolwery produkowane „specjalnie na sobotni wieczór".

Kto próbuje zdobyć informacje o kompaniach zbrojeniowych w USA, natrafia na kamienny mur. Na wszystkie pytania otrzyma lakoniczną odpowiedź: „brak danych". W ten sam sposób właściciele koncernów zbrojeniowych traktują Kongres. W 1975 r. podkomisja do walki z przestępczością, komisji prawnej Izby Reprezentantów, spróbowała zebrać minimalne choćby dane o amerykańskim przemyśle zbrojeniowym. Przewodniczący podkomisji rozesłał do prezydentów kompanii, produkujących wyłącznie pistolety, pisma z prośbą o podanie podstawowych danych dotyczących produkowanej i sprzedawanej broni, a także informacji o jej kradzieżach. Tylko 12 spośród 32 kompanii nadesłało mniej lub bardziej wiarygodne odpowiedzi, przy czym przewodniczący podkomisji musiał się zobowiązać do zachowania ich w tajemnicy. Pozostałe kompanie nie odpowiedziały w ogóle...

Kompania „RG Industrious" jest największym w kraju producentem rewolwerów „Saturday night special". Jej biura i fabryki pracują w Miami na Florydzie. Wszelkie próby dziennikarzy, żeby się czegoś dowiedzieć o tym dziwnym przedsiębiorstwie zawsze kończyły się fiaskiem. Przez telefon nie zaszczycano ich nawet odpowiedzią: „brak danych"; w biurze kompanii po prostu odkładano słuchawkę, kiedy tylko powiedzieli kim są. Jednakże jednemu dziennikarzowi, z tygodnika „Harpers", udało się zdobyć nieco informacji o „RG". Firma „RG Industrious" jest usytuowana w północno-zachodniej części Miami, w wielkim, biało otynkowanym gmachu, przy 20 Ulicy, pod numerem 2485. Nie jest ona bynajmniej takim wielkim przedsiębiorstwem, jakby można przypuszczać po ilości produkowanej broni. Wszystkie wydziały fabryczne zajmują jeden 2-piętrowy budynek i zatrudniają łącznie 30 robotników. Ustawa z 1968 roku zabrania importowania do USA taniej, gotowej broni, dlatego też przedsiębiorstwa w rodzaju „RG" wwożą część broni i montują ją na terytorium Stanów Zjednoczonych. „RG" wypuszcza na rynek po 400—500 sztuk rewolwerów dziennie. W ubiegłym roku sprzedała około 350 tysięcy sztuk rewolwerów, ale liczba ta obejmuje także znaczny procent drogiej, gotowej broni importowanej z własnej fabryki zbrojeniowej w RFN, „RG" jest bowiem filią zachodnioniemieckiej firmy „Rom Tool Company", produkującej narzędzia i broń. „RG" nie sprzedaje broni bezpośrednio kupcom, lecz kieruje ją do pośredników. Większą część rewolwerów wysyła do południowych stanów USA, ale wykazu ich zbytu nie prowadzi. Siedziba firmy mieści się w południowej części RFN, ale nikt nie wie w jakim mieście. Ma swoje przedsiębiorstwa w RFN, Brazylii i Indonezji, jak również agencje eksportowe, w wielu krajach, włącznie ze Stanami Zjednoczonymi. Jej obroty handlowe wyniosły w ubiegłym roku 270 milionów dolarów. Właścicielami firmy są trzej bracia Rom: Heinrich, Helmut i Günter. Ani jeden z nich nie wyraził zgody na rozmowę telefoniczną z amerykańskim dziennikarzem.

David Wallace, starszy, dystyngowany mężczyzna, jest prezydentem korporacji „Banhor Punta", która obejmuje kompanię lotniczą „Pipier", kompanię transportu morskiego „Starcraft", kompanię produkcyjną kompania cukrownicza „Banhor Punta" pochłonęła firmę „Smith and Wesson", zaczęła, obok broni palnej, produkować także amunicję, pałki gumowe, gazy łzawiące i inny sprzęt, wchodzący w skład wyposażenia policji. Obecnie w zakładach „S. and. W." pracuje 2300 osób. W 1976 roku wartość produkcji tej firmy zbrojeniowej wyniosła 74 miliony dolarów, a czysty zysk zamknął się sumą 16 mln dolarów, tj. blisko o 17 proc. większym niż w 1975 r.

Kompania produkuje rocznie 450 tysięcy sztuk pistoletów, 30 procent tej produkcji kupuje policja i inne organa służby porządkowej, resztę, około 150 tysięcy sztuk pistoletów, sprzedaje się na wolnym rynku, przy czym popyt na nie stale rośnie. Kto i ile zarabia na krajowym rynku broni, świadczą następujące liczby: produkcja jednego pistoletu kosztuje kompanię 100 dolarów, sprzedaje go pośrednikom po 135 dolarów za sztukę, ci z kolei detalicznym kupcom — po 150 dolarów i wreszcie ci ostatni — po 175—200 dolarów za sztukę. Ze statystyk policji wynika, iż amerykańscy gangsterzy najczęściej używają pistoletów tej firmy. W 1975 roku przy użyciu broni wyprodukowanej przez firmę „S. and. W." zabito, zraniono i ograbiono około 40 tysięcy osób. Bossowie koncernu nie zastanawiają się nad zaradzeniem złu, jakim grozi społeczeństwu amerykańskiemu wciąż rosnąca produkcja pistoletów. Nie myślą o tym także inne kompanie — od „Colta" po „RG", a rząd ich do tego nie zmusza.

Wytworzyła się nieprawdopodobna sytuacja: ani władze, ani policja, ani społeczeństwo nie wiedzą, ile broni się produkuje, kto ją w USA sprzedaje i kto ją kupuje. Agenci potężnych handlarzy śmiercią, rozsiani w ośrodkach władzy, udaremniają natarczywie żądania amerykańskiego społeczeństwa o wprowadzenie zakazu masowej sprzedaży broni, która stała się prawdziwą plagą współczesnej Ameryki.

J. CZECH

MONACHIUM

NOWY „OŚRODEK BADAWCZY"...

Wiosną 1977 roku w Monachium, przy Epingenstrasse 62, usadowił się tzw. Międzynarodowy Ośrodek Badawczy Wydawnictw. Zadania „ośrodka" polegają na zestawieniu i rozpowszechnianiu kontrrewolucyjnych pamfletów, na prowadzeniu dokumentacji podziemnej, antysocjalistycznej i terrorystycznej literatury oraz na opracowywaniu metod kontrabandy i rozpowszechniania tej literatury w krajach socjalistycznych. Czytelnikom i słuchaczom na Zachodzie podsuwa się antyradziecką literaturę, otrzymywaną rzekomo z ZSRR, gdzie jest jakoby dyskryminowana za jej krytyczny charakter. Słówko: „badawczy", które figuruje w nazwie tej „instytucji" służy wyłącznie celom kamuflażu. W rzeczywistości ów nowy „ośrodek" jest centrum propagandy skierowanej przeciwko ZSRR i pozostałym krajom naszego obozu, bazującej na falsyfikatach wydawniczych.

Za „ośrodkiem" w Monachium — jak informuje „Unsere Zeit" — stoi siedem państw NATO, które dostarczają mu specjalistów w zakresie dywersyjnej działalności ideologicznej. Są to: USA, Anglia, RFN, Francja, Włochy, Norwegia i Holandia. Przyłączyły się do nich — Japonia i pewne wojownicze ugrupowania w Szwajcarii. Główny ton działalności tej kamarylli nadaje amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza. Podporządkowane CIA, propagandowe stacje radiowe „Swoboda" i „Wolna Europa" dostarczają „ośrodkowi" materiały wywiadowcze i rękopisy. Oto co pisze o tym springerowska „Die Welt": „Północnoamerykańskie radiostacje „Wolna Europa" i „Swoboda" wyraziły gotowość bezpłatnego dostarczania materiałów „Międzynarodowemu Ośrodkowi Badawczemu Wydawnictw" w Monachium z własnych archiwów, żeby mógł je wykorzystać do celów badawczych i publicystycznych".

Dyrektorem „ośrodka" został Anglik, Martin Dewhorst, rzekomo „specjalista w dziedzinie literatury radzieckiej", a w rzeczywistości oficer brytyjskiej służby wywiadowczej. Utrzymuje on bliski kontakt ze znanym antykomunistycznym działaczem, prof. A. Nowakowskim, dyrektorem Instytutu Badawczego Zagadnień Radzieckich i Wschodnioeuropejskich w Glasgow. Współpracownikiem „ośrodka" jest także gen. Bundeswehry, Joachim Chaschel, szef wydziału analiz Federalnej Służby Wywiadowczej. Wśród zachodnioniemieckich założycieli „ośrodka" figuruje prof. teorii polityki Uniwersytetu Monachijskiego, dr filozofii Lobkowitz. Jest on jednym z najbardziej znanych antykomunistycznych działaczy w Bawarii. W 1968 roku działał w gronie ideologicznych organizatorów kontrrewolucyjnych wystąpień w CSRS. Współpracuje z nim 55-letni prof. Dietrich Leber, dyrektor Instytutu Polityki i Socjologii Państw Socjalistycznych Uniwersytetu w Kilonii.

Osiem państw, które współdziałały w uruchomieniu monachijskiego ośrodka propagandy antysocjalistycznej podpisało w 1974 roku Akt Końcowy Porozumienia w Helsinkach. W pierwszym rozdziale tego Aktu zobowiązały się one uroczyście do „powstrzymywania się od udzielania pomocy, bezpośredniej lub pośredniej, w akcjach wywrotowych, lub innej działalności, ukierunkowanej na obalenie siłą ustroju innego państwa".

(C)

■ WIOSENNA SESJA W GENEWIE
■ TRZY NOWE MOMENTY
■ PRACE REDAKCYJNE W BELGRADZIE

Do wiosny meteorologicznej jeszcze daleko, ale **w Genewie rozpoczęła się już wiosenna sesja Komitetu Rozbrojeniowego.** Jest to, jak wiadomo, największe forum dyskusji na temat rozbrojenia i kontroli zbrojeń, gdyż w pracach komitetu uczestniczy 30 państw. Posiedzenie, które tę sesję zapoczątkowało było już 766. Przedstawiciele dwóch światowych mocarstw złożyli oświadczenia, podkreślające, że i **ZSRR i USA oczekują postępu w rokowaniach,** dotyczących całkowitego i powszechnego zakazu przeprowadzania doświadczeń z bronią jądrową we wszystkich środowiskach oraz w sprawie zakazu broni chemicznej.

W inauguracyjnym przemówieniu przedstawiciel Związku Radzieckiego raz jeszcze wyraził zaniepokojenie jego kraju i narodów całego świata z powodu prób produkowania i wprowadzania do wyposażania armii broni neutronowej. Jeśli próby te nie zostaną zakończone, wyścig zbrojeń będzie wzmożony, z wszystkimi tego następstwami.

Na przebieg sesji, jak można oczekiwać, pozytywny wpływ wywrą radzieckie propozycje z listopada ub. roku, odnoszące się do zaniechania przez wszystkie państwa produkcji wszelkich rodzajów broni jądrowej i stopniowej redukcji nagromadzonych już zapasów.

Ze swoistą propozycją wystąpiła Francja, która od wielu lat nie bierze udziału w rokowaniach. Podtrzymując swe stanowisko, że świat całkowicie rozbrojony jest „utopią" — Paryż proponuje stworzenie systemu skutecznej kontroli zbrojeń. Szczegółowe wnioski w tym zakresie zamierza się przedstawić na specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ w br.

Odnotowujemy ten fakt, jako charakterystyczny. W marcu we Francji odbędą się wybory, a pogląd Paryża na temat rozbrojenia wywoływał w społeczeństwie francuskim różne krytyczne głosy. Z tego więc zapewne względu rząd właśnie wtedy, kiedy znów zebrał się Komitet Rozbrojeniowy, postanowił włączyć się w najpoważniejszy obecnie problem światowy.

W minionym tygodniu — po przerwie świątecznej — **wznowione zostały również rokowania wiedeńskie.** Pisaliśmy wielokrotnie, że dotychczas nie osiągnięto w nich zadowalającego postępu. Czy obecna runda rokowań (dotąd było ich 13) pozwoli przełamać trudności? W stolicy Austrii zdania są podzielone. Państwa socjalistyczne w każdym razie gotowe są do szczegółowej dyskusji na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej i otworzyły po temu możliwości swoimi propozycjami.

Trudno w przeglądzie najaktualniejszych wydarzeń międzynarodowych **ominąć Bliski Wschód.** Zwróćmy przeto uwagę na trzy momenty.

Cicha dyplomacja, którą podjęto po zerwaniu rokowań egipsko-izraelskich, pozwoliła wznowić obrady komisji wojskowej. Po dwóch posiedzeniach odroczono dalsze, gdyż **Egipt i Izrael pozostały przy swych odmiennych stanowiskach.** O ponownym zebraniu się komisji politycznej nie wspomina żadna ze stron.

Tymczasem w Algierze zebrali się ministrowie spraw zagranicznych tych państw arabskich, które zdecydowanie przeciwne są separatystycznym rozmowom Sadata z Beginem i przygotowali **spotkanie na szczycie Algierii, Libii, Południowego Jemenu, Syrii, w którym bierze również udział przewodniczący Organizacji Wyzwolenia Palestyny.** Szefowie wspomnianych państw mają wypracować konkretny plan działania, przeciwstawiający się zgubnym skutkom polityki Kairu. Próby oddzielnego ułożenia stosunków egipsko-izraelskich ocenia się, jako rozsypywanie fundamentów trwałego pokoju.

Gdy przesyłamy komentarz do druku — drugi dzień bawi w Stanach Zjednoczonych prezydent Sadat (wizyta będzie trwać pięć dni). **Celem waszyngtońskich rozmów Sadata jest wzmocnienie pozycji Egiptu** w ewentualnych przyszłych rokowaniach na temat separatystycznego układu pokojowego z Izraelem. — Muszę przekonać Amerykanów — powiedział prezydent Egiptu — o konieczności wywarcia presji na Izrael.

Czy Waszyngton jest tym zainteresowany? Wielu komentatorów sądzi, że USA najwygodniej jest kluczyć między obiema stronami i dlatego nie zaangażują się tak, jak życzyłby sobie Sadat. Któryś z nich napisał, że najchętniej Stany Zjednoczone nie podejmowałyby teraz egipskiego prezydenta, nie mogły jednakże odmówić jego prośbie. Nie zapowiada to pomyślnego dla Kairu finału rozmów.

I na zakończenie dwa zdania o przebiegu belgradzkiego spotkania. **Już trzy tygodnie trwają prace redakcyjne dokumentu końcowego** i — jak się podkreśla — ich tempo jest zadowalające. Dotychczas największy postęp osiągnięto w uzgodnieniach tekstu na temat współpracy gospodarczej i kroków pokonferencyjnych, znacznie mniej zaawansowane są dyskusje wokół głównych problemów politycznych i militarnych, gdyż niektóre delegacje pod różnymi pretekstami uchylają się od zajęcia jasnego stanowiska.

W. SŁAWSKI

POCIESZAJMY SIĘ

Teoretycznie kibicom nie powinno brakować emocji, bo teraz mistrzostwa gonią mistrzostwa, jak nie Europy, to świata, a jak nie mistrzostwa to walka o puchar i to znów fundowany przez Europę lub cały świat. Praktycznie jednak mówić można nie tyle o emocjach, co nadziejach. Ciągle mamy bowiem nadzieję na jakieś medalowe miejsce, a później przychodzi rozczarowanie. Są to zatem zawiedzione nadzieje.

Mieliśmy ostatnio nadzieję na medalowe miejsce w mistrzostwach świata rozgrywanych przez piłkarzy ręcznych. Mówiło się i pisało, że władze sportowe postawiły przed naszymi piłkarzami zadanie zakwalifikowania się do rozgrywek olimpijskich w Moskwie oraz zajęcia miejsca medalowego. Zakwalifikować się do Olimpiady w Moskwie można było plasując się na miejscach od pierwszego do szóstego, ale medali — jak wiadomo — było tylko trzy, więc trzeba było, aby te oba zadania spełnić, zająć jedno z trzech pierwszych miejsc.

W wypowiedziach przed mistrzostwami świata w piłce ręcznej robiono nam nadzieję, że osiągnięcie tego celu jest w zasięgu naszych możliwości i że polska drużyna piłki ręcznej może zająć któreś z medalowych miejsc nie wykluczając pierwszego czyli nie wykluczając zdobycia złotego medalu.

Rezultaty są już znane. Na początku szło nam dobrze i już wszystkim się zdawało, że któryś medal przywiozą z Danii do Polski, ale później nasi piłkarze ręczni zaczęli przegrywać i w rezultacie znaleźli się na samym końcu szóstki premiowanej udziałem w Olimpiadzie w Moskwie. I teraz dopiero zaczął się bal.

Nie ma co rozdzierać szat — powiadają niektórzy komentatorzy — bo nasi piłkarze ręczni postawione im naczelne zadanie spełnili. Mają już prawo udziału w Olimpiadzie w 1980 roku. A to było najważniejsze.

Zagrali nasi trochę gorzej — usiłują tłumaczyć inni — ale drużyna przebudowuje się i przez dwa lata może zrobić ogromne postępy. Nie jest więc tak źle.

W końcu jesteśmy szósta drużyna na świecie — przekonują jeszcze inni. I to też powinno się liczyć.

A w ogóle — powiadają wszyscy razem — nie ma co rozpaczać bo byli mistrzowie świata, drużyna Rumunii też wypadła fatalnie a mistrzowie olimpijscy, drużyna ZSRR musiała zadowolić się tylko srebrnym medalem. Więc i nasz spadek z czwartego miejsca zajętego w poprzednich mistrzostwach świata na szóste w tych, nie jest niczym tak znów tragicznym. Na Olimpiadzie dopiero pokażemy na co nas stać.

Można byłoby przyjąć te argumentację, sama zresztą pisałam już o tym, że pewną prawidłowością jest, iż po osiągnięciu sukcesów zespoły przechodzą kryzys, załamują się, rozpadają niekiedy i przegrywają z innymi. Rozumiejąc, że tak się dzieje można temu przeciwdziałać. Drużyna obecnego mistrza świata, zespół RFN, na Olimpiadzie w Montrealu uległ naszej drużynie. W dwa lata później... No właśnie, proszę porównać dystans, jaki teraz dzieli naszą drużynę od tak niedawnego rywala. A jaki postęp przez te dwa lata mogą zrobić inni?

Ale my mamy trochę inną sytuację i dlatego nie można godzić się z taką naciąganą, hurraoptymistyczną argumentacją, która przykrywa prawdę o piłce ręcznej. Oto co powiedział na ten temat po mistrzostwach świata trener polskiego zespołu Stanisław Majorek:

— Niestety nie mamy rezerw. Musimy pomyśleć o szkoleniu młodzieżowej reprezentacji. Zdopinguje to rutyniarzy do intensywniejszej pracy i wydłuży ławkę rezerwowych. Musieliśmy w tym turnieju opierać się na starszych graczach, bo po prostu nie miał ich kto zmienić.

Władze sportowe ZSRR wysłały do Danii ekipę 40 trenerów aby przyjrzeli się jak grają inni i nauczyli się. Oto kto i jak myśli o obronie złotego medalu na Olimpiadzie. A jaka mamy nadzieję my, w tak smutnej sytuacji, kiedy właściwie nie ma armat. Pozostaje nam tylko pocieszanie się. A jest to już dobrze opanowana metoda.

W sportach zimowych klęska jest zupełna. Na mistrzostwa Europy w łyżwiarstwie figurowym wysłaliśmy reprezentację bez formy i kondycji. Nasi narciarze nie liczą się w żadnej konkurencji. Przepraszam. Przeczytałam gdzieś, że „liczymy się tylko w trójkombinacji" Nasi dzielni chłopcy — Maciej Ciaptak był szósty, a Wojciech Gajewski — ósmy — spisali się znakomicie. Można powiedzieć światowa czołówka. Tylko, że w trójkombinacji sklasyfikowano razem dwanaście osób, a poza tym jest to konkurencja, która się już dziś nie liczy. Tak więc liczymy się tam, gdzie się konkurencja nie liczy. Natomiast zaczęliśmy się liczyć w dyskwalifikacjach za sportowe kostiumy, co już jest całkowitą nowością i pełnym równaniem do światowej czołówki. Ale przecież wcale nie o to chodzi.

BOGDA MADEJ

EDWARD KOPCZYŃSKI

MIŁOŚĆ I MEDYCYNA

W gmachu sądu znalazł Barbarę na korytarzu, przed drzwiami sali wskazanej w wezwaniu. Była sama, siedziała na ławce. Przywitał się i usiadł obok. Po chwili milczenia zapytał:

— Jak się czujesz?

— Czy to ważne?

— Ważne, Basiu, chciałbym, żebyś przeszła przez to możliwie bezboleśnie.

— To już jest wyłącznie moja sprawa. Nie troszcz się o mnie, nie masz już tego obowiązku.

— Troszczyłem się o ciebie nie tylko z obowiązku.

— Nie psujmy sobie nerwów, jeszcze trochę i będziesz wolny.

— Nigdy nie będę wolny.

Barbara niecierpliwie wzruszyła ramionami.

— Jak to rozumiesz?

— Basiu, chciałbym, żebyś mi wierzyła. Kochaliśmy się, wiele razem przeżyliśmy, i to, co się stanie, w moim stosunku do ciebie, do naszych dzieci nic nie zmieni. Proszę cię o przyjaźń, jest mi ona bardzo potrzebna.

— Przypuśćmy...

Odgadł, że Barbara tylko pozornie jest spokojna. Zresztą i on panował nad sobą kosztem ogromnego napięcia wewnętrznego.

— Chciałbym, aby jak najszybciej cała ta historia była za nami.

— Wcale nie wątpię.

— Nie o to chodzi, Basiu, myślę o tym, że za chwilę o naszym życiu będziemy mówić obcym ludziom.

— Przy mojej zgodzie nie musisz mówić wiele. Oboje chcemy rozwodu i w końcu jest to nasza sprawa.

— Miejmy nadzieję, że tak będzie.

— Czy może być inaczej?

— Adwokat uprzedzał mnie, że sąd na pierwszej rozprawie rozwodu nie orzeknie, jest to rozprawa pojednawcza.

Barbara spojrzała ironicznie na Michała.

— Musisz wykorzystać w pełni swój talent przekonywania.

Michał wzruszył ramionami.

— Nie jest mi wcale wesoło.

— Dziwię ci się, przecież pomyślnie realizujesz swój cel, niedługo będziesz mógł rozpocząć nowe życie.

— To są tylko słowa, Barbaro. Sama nie wierzysz w to, co mówisz...

W niewielkiej salce kobieta-sędzia zapytała:

— Pan wniósł sprawę o rozwód, za zgodą obu stron.

Michał patrzył na przystojną siwą panią, ubraną w togę i skinął głową

— Tak.

Sędzia spojrzała na Barbarę i zapytała:

— Pani się na rozwód godzi?

— Tak, godzę się.

Pani sędzia zdjęła okulary, spojrzała z uśmiechem na Michała i poprosiła:

— Proszę im podać powody, które skłoniły pana do tej decyzji.

Michał czuł kompletną pustkę w głowie. O czym mówić, co powiedzieć, od czego zacząć? Szukając pierwszych słów pomyślał przez moment, że wszystko tutaj, na tej sali — on, Barbara obok niego, tych troje ludzi w togach za stołem, adwokat z boku — jest jakimś wielkim nieporozumieniem...

— Doszliśmy z żoną do wniosku... doszliśmy do wspólnego wniosku...

— Proszę mówić o sobie, tylko o sobie. — Sędzia miała wciąż uśmiech na twarzy.

— Otóż ja doszedłem do przekonania, że kontynuowanie małżeństwa... tak, chyba dobrze to określiłem, jest niecelowe, a z uwagi na nasze dzieci nawet niewskazane. — Michał poczuł wypieki na twarzy. — Straciliśmy ostatnio to, co najogólniej nazwać można wzajemnym zrozumieniem. Z byle powodu dochodzi między nami do sprzeczek, kłótni. Szarpiemy sobie nerwy... Na to wszystko patrzą dzieci, nie wynoszą więc z domu najlepszego przykładu... I to jest w zasadzie wszystko, co miałbym do powiedzenia.

— A pani?

Barbara była bardziej opanowana niż Michał, w każdym razie tak się mogło wydawać.

— Mój mąż powiedział prawdę. Nasze życie jakby się rozprzęgło. Wzajemne zrozumienie. Nie ma go rzeczywiście w naszym małżeństwie. Jest prawdą, że z byle powodu kłócimy się, a jak w każdej kłótni, padają słowa, których później nie można zapomnieć, które sprawiają ból...

— Proszę podać jakiś przykład. — Sędzia patrzyła z sympatią na Barbarę.

— Czy to potrzebne?

— Potrzebne.

— Przykład, proszę, może być przykład. Mąż mój jest przepracowany, kieruje w szpitalu dużym oddziałem, pracuje społecznie — towarzystwo lekarskie, komitet pomocy społecznej. W związku z tym uważa, może słusznie, że jest zwolniony od jakichkolwiek obowiązków w domu, nawet od dbania o porządek. Zwracam na to uwagę. W odpowiedzi słyszę, że przywiązuję zbyt dużą wagę do drobiazgów, że w trosce o ład i porządek nie należy przesadzać, co można obrzydzić życie sobie i innym... Ja również pracuję zawodowo, też jestem zmęczona, nie zawsze panuję nad sobą tak, jakby może należało...

Pani sędzia wyraziła wątpliwość:

— Sądzi pani, że są to dostateczne powody do rozwodu?

Barbarę poniosło. Mówiła szybko, z pasją, za siebie i za Michała:

— Wysoki Sąd jest widocznie przekonany, że rozmawia z dwojgiem lekkomyślnych ludzi, którzy przyszli po rozwód, bo się ze sobą kłócą. Pani sędzia chciała ode mnie przykładu. Podałam przykład pierwszy z brzegu wiem, że banalny, może nawet śmieszny. Mąż, pytany o przyczyny też nie był przekonujący. Chciałam jednak zwrócić uwagę Wysokiego Sądu, że sprawę o rozwód wnieśli ludzie w dojrzałym wieku — dokładniej, ludzie w starszym wieku. Mąż jest lekarzem, ja jestem ekonomistą trudno posądzać nas o brak odpowiedzialności. Mam prośbę. Pragnęłabym by Wysoki Sąd nam uwierzył. Nie mamy więcej sił, chcemy rozstać się ze sobą w sposób możliwie godny, jak dwoje ludzi, którzy dużo ze sobą przeżyli, dużo dobrych dni, którzy kiedyś byli szczęśliwi. — Barbara nabrała w płuca powietrza. — Chcemy rozstać się w przyjaźni, chcemy rozstać się teraz, dzisiaj, bo jutro możemy stracić i to, co nam jeszcze zostało...

Chwilę trwała cisza, potem pani sędzia powiedziała:

— Rozumiem panią doskonale — uśmiechnęła się — sama jestem żoną i matką, ale właśnie dlatego uważam, że i pani, i mąż musicie nad tak ważną decyzją głęboko się zastanowić.

— Zastanawiałam się — rzuciła impulsywnie Barbara. — Rozejście się jest dla nas najlepszym rozwiązaniem.

— Zastanawiałem się również — powiedział Michał. — Ta decyzja nie była dla mnie łatwa.

— Są dzieci?

— Tak, dwoje, syn i córka. — Barbara wyjęła z torebki chusteczkę.

— Ile mają lat?

— Są już prawie dorosłe. Syn ma dwadzieścia, córka siedemnaście — wyjaśnił Michał.

— Uważa pan, że są już prawie dorosłe i fakt, że rodzice rozejdą się, jest dla nich sprawą bez znaczenia?

— Tego nie powiedziałem, uważam tylko, że dzieci są na tyle dorosłe, że nie wymagają z mojej strony codziennej opieki.

— Nie wymagają, zdaniem pana, codziennej pana opieki. — Twarz sędziny była bez wyrazu.

— Będę przecież łożył na utrzymanie dzieci, będę do domu zaglądał, prawie nic się nie zmieni...

— Prawie nic się nie zmieni — wolno, z namysłem powtórzyła słowa Michała.

Michał był zły na siebie. W pierwszej wypowiedzi nie użył właściwych argumentów, jego wywód był blady, mówił tak, jakby sam nie wierzył w słuszność sprawy. Teraz strzelił następne głupstwo: „prawie dorosłe dzieci", „prawie nic się nie zmieni" — ta uprzejma i skądinąd miła pani w todze natychmiast to wykorzysta... Nie mylił się.

— Jeżeli nic się nie zmieni, to po co rozwód?

— Chcemy się rozejść za obopólną zgodą, bez orzekania winy tej czy tej strony — włączyła się spokojnie Barbara. — Dzieci zostaną ze mną.

— Proszę mi powiedzieć — sędzina zdawała się nie słyszeć wypowiedzi Barbary — od jak dawna trwa rozkład małżeństwa. Dokładniej, od jak dawna nie żyjecie państwo ze sobą? — Patrzyła na Michała.

— Od roku — powiedział Michał czując, że krew napływa mu do twarzy.

Pani sędzina spojrzała na Barbarę.

— Od jak dawna?

— Gdzieś od czterech miesięcy — szepnęła Barbara...

Michał czuł pulsujące krwią skronie i najchętniej uciekłby z tej salki, od ciekawych oczu, od tych ludzi, którzy babrali się w jego życiu. A Barbara, co też jej strzeliło do głowy? Uzgodnili przecież, że podadzą rok, do diabła, psuje sprawę.

Sędzia słuchała przez chwilę opinii swoich kolegów — wymieniali uwagi cicho — potem mówiła:

— Rozpatrywaną dzisiaj sprawą małżonków Biernatów... nie daje sądowi przekonujących dowodów rozkładu pożycia małżeńskiego. Po wysłuchaniu stron sąd postanawia sprawę odroczyć...

Michał spojrzał na adwokata, ten szybko się włączył:

— Proszę Wysoki Sąd o chwilę uwagi. Chcę wnieść pod rozwagę Wysokiego Sądu nową okoliczność. Otóż, memu zleceniodawcy zależy na możliwie szybkim uzyskaniu rozwodu. Chciałby zawrzeć związek małżeński z inną kobietą, wobec której ma moralne zobowiązania.

Sędzia spojrzała na Barbarę.

— Czy pani o tym wiedziała?

— Tak.

— I to nie zmienia pani decyzji wyrażenia zgody na rozwód?

— Nie zmienia.

— Czy pana moralne zobowiązanie wobec tej drugiej kobiety — „moralne zobowiązania" pani sędzia podkreśliła intonacją — można określić bardziej rzeczowo?

— Nie rozumiem.

— Czy ta druga kobieta ma dziecko z panem lub jest w ciąży?

— Nie, skąd — zaprzeczył żywo Michał czując znów krew tętniącą w skroniach.

— Wobec tego — sędzia porozumiała się wzrokiem z kolegami — sąd swej decyzji nie zmienia, odracza sprawę na pół roku. — Spojrzała na Barbarę, potem na Michała i dodała: — Oboje jesteście państwo ludźmi inteligentnymi, z wyższym wykształceniem. Doceniam powściągliwość państwa w wypowiedziach i nie mam zamiaru mówić o tym czym jest małżeństwo i jaką rolę spełnia w społeczeństwie, ale chciałam zwrócić uwagę na jedno, chyba najistotniejsze. Wyrządzicie państwo wielką krzywdę dzieciom. — Spojrzała na Michała. — Wierzę, że o dzieci będzie pan dbał, ale chcę pana zapewnić, a doświadczeń wyniesionych z tej sali nie brakuje, że pana dobre intencje praktycznej realizacji nie znajdą, bo życie jest życiem... — uśmiechnęła się gorzko — a ludzie tylko ludźmi...

Później, ilekroć Michał wspominał rozprawę sądową, zawsze doznawał uczucia wstydu. Był przekonany, że dla pani, która przewodniczyła, on jako człowiek, mąż, ojciec, a nawet jako lekarz był postacią bardzo mizerną. Fakt, że Barbara godziła się na rozwód, wcale nie świadczył na jego korzyść. Żona, która nie broni swego małżeństwa, swego domu, daje dowód, że jest u kresu wytrzymałości... Barbara w czasie rozprawy trzymała się dzielnie, ale przecież nie oszukała doświadczonego oka tej kobiety za stołem pokrytym zielonym suknem. On sam w czasie rozprawy dostrzegł w swej żonie inną kobietę. Kobietę zrezygnowaną, naprawdę zmęczoną. To odkrycie bolało go, bolało tym bardziej, że było zaskakujące. Co najmniej od dwóch, trzech lat dostrzegał, że Barbara się od niego oddala, obojętnieje, ale wcale nie traci energii, zapalczywości, broniąc swej wyimaginowanej krzywdy. Wyimaginowanej. Tak, użył na pewno właściwego słowa. Gdyby miała dla niego więcej zrozumienia, gdyby nie robiła wciąż z igły widły, gdyby miała w sobie ciepło, życzliwość, przecież wtedy jego stosunek do żony byłby inny, lepszy... Dbał o dom, o żonę, dzieci, jak mógł i chyba jak należy. Nie potrafił udawać — zmęczony, nie silił się na okazywanie energii, nękany tymi czy innymi kłopotami, nie ukrywał tego przed żoną, dziećmi. Nie miał zresztą zwyczaju znosić swych kłopotów do domu, truć nimi Barbarę, ale trudno wymagać, by w takich chwilach udawał wesołka. Barbara powinna to rozumieć, jeżeli nie współczuć...

Kiedy ten niezbyt rozgarnięty adwokat wypalił o jego zobowiązaniach moralnych wobec drugiej kobiety, Michał dostrzegł przez chwilę w oczach pani sędziny jakby błysk wesołości. Najpierw był tym niemile zdziwiony, potem zrozumiał. Stary wyga w swoim rzemiośle. Patrzyła na nich w czasie rozprawy na pewno mocno zdziwiona, bo przecież nieczęsto się zdarza, żeby ludzie rozchodzili się — mając za sobą dwadzieścia kilka lat małżeństwa, dzieci

— z powodu różnicy charakterów. Czegoś tam pani sędzinie brakowało w ich sprawie. Brakowało klucza, jakiegoś istotnego szczegółu w łańcuchu przyczyn. Błysk wesołości w jej oczach wyrażał zadowolenie fachowca, któremu udało się odkryć błąd. Przez chwilę Michał miał chęć krzyknąć: Nic pani nie znalazła, niczego pani nie odkryła, ta informacja o moich moralnych zobowiązaniach wobec drugiej kobiety nie ma w tej sprawie żadnego znaczenia. Gdyby tej drugiej kobiety nie było, też stałbym przed panią, może nie dzisiaj, nie teraz... Może stanąłbym przed panią za rok, za dwa, ale sprawa byłaby ta sama...

Po rozprawie odwiózł Barbarę do domu. Przez całą drogę — kilkanaście minut — milczeli. Kiedy zatrzymał samochód przed domem, powiedział:

— Przepraszam cię, Basiu.

— Nie ma za co.

Wahał się chwilę, potem zapytał:

— Dlaczego nie mówiłaś tak, jak uzgodniliśmy?

— Nie wiem — Barbara bezradnie wzruszyła ramionami — nie miałam w tym żadnego celu.

— Wiem, wiem — dodał szybko. — To i tak nie miałoby większego znaczenia.

— Tak sądzisz?

— Jestem przekonany.

Spojrzała na niego i powiedziała cicho:

— Dlaczego adwokat mówił o tej kobiecie, prosiłam cię...

— Sądziłem, że to pomoże naszej sprawie.

— Pójdę już, chcę być sama.

— Dobrze, Basiu.

Wysiadł z wozu, otworzył drzwi i pomógł jej wydostać się. Pocałował jej rękę i rzekł:

— Zajrzę do was w sobotę.

— Nie musisz.

— Wiem, że nie muszę, ale będę

— Jak chcesz...

KONIEC

EKOSPAZM

Alvin Toffler znany jest doskonale polskiemu czytelnikowi z głośnej książki „Szok przyszłości" której przekład momentalnie zniknął z księgarskich półek. Książka, której tematem — mówiąc w największym skrócie — był proces załamywania się tradycyjnych społeczeństw przemysłowych wywołała wiele dyskusji i polemik. Poglądy Alvina Tofflera można było również poznać podczas jego pobytu w Polsce wiosną 1976 roku. Na marginesie — rodzice tego wybitnego futurologa amerykańskiego pochodzą z Polski.

W lutym 1975 roku na łamach czasopisma „Esquire" ukazał się artykuł Tofflera „Poza granicami depresji". Artykuł wywołał żywy oddźwięk wśród czytelników, toteż w dwa miesiące później ukazała się w sprzedaży książka będąca jego rozwinięciem. Tak powstał „Ekospazm", którego przekład właśnie ukazał się u nas.

W wywiadzie udzielonym Wiktorowi Osiatyńskiemu Toffler powiedział:

„W 1970 roku nie mogłem pisać o załamaniu się struktury ekonomicznej, bo to jeszcze wówczas nie miało miejsca. Obecnie załamanie takie jest coraz wyraźniej widoczne. Oczywiście jest to ściśle związane z problemami ekologicznymi środowiska, zmian systemu wartości, zmian w rodzinie itp. Związki te spróbowałem zasygnalizować w książce wydanej w 1970 roku pt. „Ekospazm"."

Punktem wyjścia w „Ekospazmie" jest dla Alvina Tofflera rozpoczynający się na przełomie lat 1974—1975 kryzys ekonomiczny. Ale Toffler idzie dalej. Głównym tematem jego rozważań jest ekospazm — kryzys przyszłości, który będzie dotyczył wszystkich dziedzin życia gospodarczego, społecznego i politycznego. Amerykański futurolog maluje wprawdzie wizję przyszłego świata w czarnych kolorach, ale rozważa również możliwości uniknięcia owego kryzysu przedstawia swoje postulaty i wnioski.

Nie wszystkie tezy Tofflera będą jasne dla czytelnika nie ze wszystkimi można się zgodzić. Pisze o tym we wstępie, który stanowczo trzeba przeczytać, Wiktor Osiatyński.

Alvin Toffler — „Ekospazm", tłumaczyła E. Szymańska, Czytelnik, Warszawa 1977, str. 130, cena: zł 25,—

CHINY — 1942—1945

Piotr Władimirow, z wykształcenia sinolog, dobrze władający językiem chińskim, był także dziennikarzem i działaczem politycznym. Od maja 1938 roku do połowy 1940 roku przebywał w Chinach jako korespondent TASS. W roku 1942 po datą 10 maja Władimirow notuje:

„Jesteśmy w Lanczou. Od chwili wystartowania z Ałma-Aty naszego TB-3 jest to już czwarty nocleg na chińskich lotniskach. Nocowaliśmy w Kuldży, w Urumczi, w Hami. Ostatecznym celem naszego lotu jest Jenan, gdzie zostałem wysłany przez Komintern w charakterze łącznika i gdzie będę zarazem pełnił obowiązki korespondenta wojennego TASS".

Od tej notatki rozpoczyna się wydany przez „Książkę i Wiedzę" „Dziennik z Rejonu Specjalnego Chin z lat 1942—1945" Jako łącznik Międzynarodówki Komunistycznej przy KC KPCh Władimirow na co dzień spotykał się z przywódcami komunistów chińskich, niejednokrotnie prowadził rozmowy z Mao Tse-tungiem, dyskutował z wojskowymi, z ludnością cywilną, młodzieżą. Poznawał Chiny poprzez ich wielką politykę, znał również codzienność Jenanu, czyli „Rejonu Specjalnego". W swoim dzienniku z jednakową skrupulatnością pisał o sprawach wielkich i zwyczajnych, notatki osobiste przeplatają się ze służbowymi. Z tej pasjonującej lektury wyłania się obraz „Rejonu Specjalnego" z pierwszej połowy lat czterdziestych. Wówczas tam właśnie dojrzewała rzeczywistość Chin dzisiejszych. Dziennik Piotra Władimirowa pozwala zrozumieć późniejszą ewolucję maoizmu, odpowiada na wiele istotnych pytań dotyczących polityki przywódców chińskich.

Piotr Władimirow — „Dzienniki z Rejonu Specjalnego Chin z lat 1942—1945", przełożyła: J. Olszowska, Książka i Wiedza, Warszawa 1977, str. 640, cena: zł 70,—

NOCĄ Z BIAŁYMI KOŃMI

„Nocą z białymi końmi" to tytuł powieści Pawła Wežinowa, która ukazała się w Klubie Interesującej Książki. Urodzony w 1914 roku Paweł Wežinow zalicza się do czołówki prozaików bułgarskich. W latach drugiej wojny światowej był korespondentem wojennym i później w swojej twórczości niejednokrotnie powracał do własnych przeżyć i doświadczeń z czasów wojny. Spośród licznych tomów opowiadań, jakie napisał, na język polski przełożono „Zapach gorzkich migdałów" który w nakładzie PIW ukazał się w roku 1970.

Akcja powieści „Nocą z białymi końmi" rozgrywa się współcześnie, głównie w środowisku naukowców sofijskich. Autor konfrontuje rozmaite postawy życiowe starszego odchodzącego już pokolenia inteligencji bułgarskiej i ludzi młodych. Główny problem powieści Wežinowa to postawa moralna człowieka, jego stosunek do otoczenia, ale także i do własnego postępowania. Autor nie moralizuje zmusza raczej do refleksji na temat różnorodnych, często skomplikowanych stosunków między ludźmi. Przyjaźń i miłość, lojalność uczciwość, odpowiedzialność wierność swoim zasadom, etyka zawodowa, umiejętność znalezienia swojej drogi życiowej — to są problemy, które nigdy nie stracą aktualności Często się o nich mówi, rzadziej może człowiek się nad nimi zastanawia. Powieść Wežinowa nastręcza akurat ku temu sposobność.

Paweł Wežinow — „Nocą z białymi końmi", przełożyli: T. Dąbek — Wirgowa i L. Krzemień, PIW, Warszawa 1977, str. 438, cena: zł 35,—

REKORDY W PLECAKU

Zarówno Jana Lisa jak i Bogdana Tuszyńskiego wytrawnym kibicom sportowym przedstawiać nie trzeba. Obaj dziennikarze sportowi zdobyli sobie popularność zarówno pracą solo jak i w duecie. Ostatnio ukazała się kolejna książka tej spółki autorskiej, jest nią mianowicie, opublikowany przez Wydawnictwo MON tom, zatytułowany „Rekordy w plecaku". Nie serce a właśnie rekordy bo swoją książkę autorzy poświęcili sportowcom — żołnierzom.

„W swojej pracy — pisza autorzy — pragniemy ukazać losy niektórych z nich ich postawy, drogi życiowe sukcesy i osiągnięcia dokonania które były możliwe dzięki zetknięciu się ich z wojskiem".

Przedstawiają więc relacje ze spotkań ze sportowcami, którzy dawniej i dzisiaj związani są z wojskowymi klubami sportowymi. Pisza o zawodnikach, których nazwiska były na ustach kibiców całej Polski na przykład Zdzisław Krzyszkowiak czy Maria i Edmund Piątkowscy pisza również o sportowcach, o których nie było tak głośno jak na przykład - snadochroniarz Zdzisław Szwedziuk czy też wojskowi piłkarze z „Czarnych" — Żagań, którzy w 1965 roku nieoczekiwanie zdobyli Puchar Polski.

„Rekordy w plecaku" są fragmentem historii i teraźniejszości polskiego sportu są kronika wydarzeń sportowych oraz stanowią zapis dokumentalny dotyczący życia ludzi, którzy zajmowali się i sportem, i służyli Wojsku Polskiemu.

Jan Lis, Bogdan Tuszyński — „Rekordy w plecaku", Wydawnictwo MON, Warszawa 1977, str. 374, cena: zł 35,—

WARTO PRZECZYTAĆ

Janusz Stefanowicz — „Bunt mniejszości. Współczesne separatyzmy narodowe". WP, cena zł 15.
Virginia Wolf — „Pochyła wieża", Czytelnik, cena zł 50.

L. Tieck „Sabat", PIW cena zł 35,
E. Schmidtowa „Dziewczyna taka jak ty", Iskry, cena zł 24,
S. Czernik Ręka" LSW, cena zł 28,
Programy i dyskusje literackiego okresu Młodej Polski, Ossolineum cena zł 90,
E. Wysińska Premiery i wydarzenia" PIW, cena zł 50,
J. Kras „Życie umysłowe w Krakowie w latach 1848—1870", Wyd. Literackie cena zł 45,
D. Mihailovic Kiedy kwitną tykwy" PIW cena zł 20,
L. Elektorowicz Przeklęty teatr" Wyd Literackie, cena zł 30,
H. Popławska „Szpada na wachlarzu" Iskry cena zł 40,
W. Sosiura Czerwona zima", PIW cena zł 10,
Młodopolski świat wyobraźni, Wyd. Literackie, cena zł 85,
S. Dobosiewicz „Mauthausen—Gusen obóz zagłady", MON, cena zł 40,

W sezonie 1974/1975 grało w Teatrze Nowym 62 aktorów i tak samo długa była lista pracowników działu technicznego. Gdyby więc do listy tej dopisać jeszcze reżysera, inspicjentów, suflerów, scenografów, personel literacki, biurowy itp., to okazałoby się, że na to, co przybiera w pewnej chwili kształt przedstawienia teatralnego składa się praca znacznie większego zespołu ludzi niewidocznych, ukrytych za kulisami, na zapleczu, niż aktorów. Są wśród nich zawody bardziej i mniej „teatralne", warto raz chociaż unieść nie tylko kurtynę, ale posługując się współ-

— Skąd pan wiedział, że trzeba pomóc?

— Zdawało mi się, że jest niedobrze...

I właściwie rola suflera sprowadza się do tego, by mu się zawsze we właściwej chwili zdawało. Toteż winien być inteligentny, znać teatr na wylot, mieć nienaganną dykcję i znakomity szept. Jakie mogą być skutki, jeśli za suflerowanie weźmie się osoba niepowołana, świadczy o tym następujące wydarzenie. W Teatrze Popularnym Józefa Pilarskiego pełnił tę funkcję człowiek wprawdzie rozkochany w teatrze, ale dość ograniczony. Właśnie grano jakąś francuską farsę, dla powodzenia której ważne jest, by wymiana zdań na scenie była bardzo szybka. I właśnie, kiedy się taki dialog zaczął, sufler zamilkł.

— Gadaj pan... — zachęcił go ktoś stojący obok.

— Kiedy to jest po francusku, a ja po francusku nie umiem.

— To opuść.

— Nie mogę. To jest bardzo ważne...

Henryk Filipowicz tak charakteryzuje swoją współpracę z aktorem: „Ja aktorowi wiszę na oczach, a jestem najnieszczęśliwszy, kiedy jest ciemno na scenie i ja tych oczu nie widzę".

Oczywiście dziś, skoro jedną sztukę gra się dziesiątki razy, a czasem setki, aktorzy czują się pewniej i znają rolę lepiej niż dawniej, kiedy co tydzień sztukę zmieniano. Toteż dawni suflerzy łódzcy, Józef Pelszyk, Zenobia Wybrańska, Eugenia Wasilewska i Stefan Heine dzielili niegdyś aktorów w zależności od stopnia, w jakim im byli potrzebni, na biblijnych, armatnich i mętlików.

Aktor biblijny, to taki, do którego zachowania na scenie pasują słowa Pisma Świętego: „Nie wiecie dnia, ani godziny", kiedy akcję pogmatwa, wsypie się sam i zmyli innych. Do grupy tej należał m. in. aktor tak dobry, jak Jerzy Woskowski. Uczył się na ogół roli bardzo dobrze, ale zdarzało się, że nagle przeskakiwał po kilka stronic tekstu, a lubił ratować się bez pomocy suflera. Tak się zdarzyło, gdy grał w Per Gyncie Ibsena z Marią Dąbrowską. Opuścił trzy strony tekstu. Toteż Dąbrowska, grająca rolę matki Per Gynta powiedziała później do Stefana Heine: „No cóż, kochany Stefanie, umarłam dziś o 18 kwestii za wcześnie".

Aktor armatni to taki, do którego można strzelać z armat, a też nie usłyszy. Wbrew pozorom do grupy tej nie można było zaliczyć jedynego chyba w dziejach teatru aktora głuchego. Grywał mianowicie przed pierwszą wojną w Łodzi niejaki Antoni Różański, znany w latach młodości z atletycznej budowy i donośnego głosu. Odtwarzał postacie wspaniałe, pełne animuszu, rycerskie. Furorę zrobił w sztuce Michała Wołowskiego Towarzysz pancerny. Swój animusz prezentował nie tylko na scenie, skoro do jednej z łódzkich restauracji wjechał konno, a w czasie pierwszej wojny spoliczkował w tramwaju niemieckiego żołnierza. Różański słynął z łatwości uczenia się ról. I zdolność ta przydała mu się u schyłku życia. Zaczął bowiem głuchnąć, a proces ten posunął się tak daleko, że z ruchu ust współaktorów domyślał się wygłaszanego tekstu. Ale też suflerowi kłopotu nie sprawiał.

Mętlik wreszcie — to aktor drugorzędny, który nie trzyma się tekstu, myli innym i w ten sposób wprowadza zamęt w przedstawieniu. Być może do tej kategorii dawni suflerzy zaszeregowaliby Mi-

JERZY URBANKIEWICZ

CI, KTÓRYCH NIE WIDAĆ

czesną techniką, unieść dekoracje i pokazać z bliska choćby niektóre z osób, bez których nie byłoby teatru, a co najmniej — teatr byłby gorszy.

Nie siląc się na ustalanie hierarchii ważności, zacznijmy od człowieka, którego charakteryzuje m. in.:

ZNAKOMITY SZEPT

Kiedy się mówi o suflerze, przychodzą na myśl gorzkie słowa Cirana de Bergerac:

„...Otóż treść zebrana
Z mojego życia! Podczas, gdy
ja w cieniu
Na dole stoję, cicho
w zapomnieniu.
Inni na górze wśród lubej
przeprawy,
Spijają za mnie pocałunek
sławy".

Całe pokolenia aktorów grały przy pomocy suflerów i dopiero Juliusz Osterwa wprowadził w Reducie zasadę gry scenicznej, której istotą było przeżywanie, a jeśli ktoś przeżywa, to sam z siebie, bez podpowiadania. Poglądem tym przejął się Jaracz: „Sufler jest przekleństwem teatru, zabiera tę odrobinę fikcji, którą się zdobyło. Od sześciu lat gram bez suflera". Boy Żeleński nie mógł pominąć tej sprawy w swoim bogatym piśmiennictwie na temat teatru. Jedną z recenzji kończy taką uwagą: „Dobry przekład p. Jachimeckiej wart był lepszego pamięciowego opanowania. W tych warunkach teatr bez suflera staje się dziwnym kaprysem. Proponuję założenie „Towarzystwa Przyjaciół Suflera".

Chociaż pomysł wyszedł od Osterwy, co najmniej dwaj suflerzy mieli dowody, że wielki ten artysta całkowicie na pamięci polegać nie mógł. Henryk Filipowicz, sufler Teatru Popularnego, A. Mielewskiego zauważył, że Osterwa często wybiegał za kulisy, by popatrzeć do tekstu, natomiast długoletni sufler wielu międzywojennych i powojennych teatrów łódzkich, Stefan Heine uratował raz wielkiego tego aktora od „wsypy". W prologu pewnej sztuki Osterwa miał wymienić datę, którą chwilę później powtórzyć miała inna, w danej chwili nieobecna na scenie postać. Powiedział: Tysiąc osiemset..." i zapomniał reszty. Na szczęście sufler wiedział swoje. Śledził tekst i „podrzucił" brakujący koniec. Aktor nazwiskiem Gasiński twierdził, że nigdy nie pomyli ani nie zapomni tekstu, uczy się bowiem sensu, a nie słów. Przytoczona wyżej przygoda Osterwy dowodzi, że czasem znaczenie mają właśnie słowa. Zasadnicze również znaczenie może mieć gra słów, albo rym. Bywają aktorzy wymowni, którzy potrafią znakomicie „haftować", czyli zastępować tekst zapomniany własnym. Należał do takich Zelwerowicz. Ale H. Filipowicz pamięta, kiedy wielki ten aktor utknął na przewidzianej tekstem pauzie i tylko czujności suflera zawdzięcza, że to pierwsze słowo, o które chodziło, wpadło mu w ucho. Pytał potem Filipowicza:

aktor zapadł na chorobę Heine-Medina.

Nikt nie ogląda tyle spektakli co sufler i skutkiem tego nikt nie widział tylu różnego rodzaju potknięć i błędów potocznie zwanych wsypami. Mają one też swoją klasyfikację i dzielą się na śmieszne, wzniosłe i przerażające. Do pierwszych należy na przykład wydarzenie, jakie miało miejsce na scenie Teatru Miejskiego, kiedy w sztuce Molnara Wielka miłość grał Juliusz Osterwa z Hildą Skrzydłowską. Wygłaszała ona długi monolog, po którym Osterwa miał powiedzieć: „Nauczyła się pani tego wszystkiego na pamięć" Zdarzyło się jednak, że aktorka myliła się wygłaszając monolog i kiedy wreszcie jakoś dobrnęła do końca, Osterwa powiedział: „Nie nauczyła się pani tego wszystkiego na pamięć" i mrugnął w stronę budki suflerskiej do S. Heinego.

Wsypa wzniosła zdarzyła się, kiedy na scenie łódzkiej wystąpiła Irena Eichlerówna w sztuce Szaleństwo. W ostatniej, pełnej napięcia scenie partner pyta: „Dokąd idziesz Elżbieto?", ona odpowiada: „Idę zmienić suknię" i zapada kurtyna. To ostatnie zdanie Eichlerówna mówiła z mistrzostwem jej właściwym, a było ono znakomitą pointą sztuki. Stefan Heine, który żywił dla tej artystki cześć niezwykłą, tak się kiedyś zasłuchał, że zapomniał dać sygnał, by opuszczono kurtynę. Na scenie stał nie mający nic do powiedzenia, ani odegrania (bez — rolny?!) partner w osobie Leona Pietraszkiewicza i gromił suflera wzrokiem, a ten zachwycony czekał, co będzie dalej. Oprzytomniał wreszcie, dał sygnał, brawa były jak zwykle ogromne, ale Eichlerówna się dąsała Wyznał jej, że popełnił błąd z zachwytu nad jej grą. Nie mogła nie przebaczyć.

Podobnie zasłuchała się kiedyś suflerka w powojennym teatrze im. Jaracza, i nie zauważyła, że po pięknym monologu aktor zapomniał, co dalej. Aktor daje jej znaki, inni aktorzy pomagają, a ona wciąż przeżywa monolog. Wreszcie oprzytomniała i krzyknęła tak, że ją było słychać na sali: „Jezus, Maria! Na której to stronie?!".

Przytoczony niżej przykład wsypy przerażającej to jednocześnie dowód, że sufler musi być świetnym znawcą teatru i dobrym psychologiem. Pewna znana aktorka miała ciężki dzień podzielony pomiędzy próby w teatrze, nagrania w radiu, próby w telewizji i parę godzin pracy w atelier filmowym, na koniec zaś przyszła na spektakl w rodzinnym teatrze. Wygłaszała długi monolog, na końcu którego partner pytał: „Milady, co słyszę?" Owego wieczoru, usłyszawszy to pytanie, aktorka zaczęła monolog od początku. Partner i sufler zastygli w przerażeniu, ale ten drugi — Stefan Heine wiedział z doświadczenia, że za chwilę aktorka się spostrzeże, zrozumie błąd i w ogóle się zgubi. Przygotował sobie więc początek zdania, które pozwoli na podjęcie przerwanej akcji i przywróci spokój aktorce. Rzeczywiście moment ten przyszedł i udało się zażegnać dalsze nieszczęście.

Pomijając Jaracza i Osterwę, których stosunek do pomocy suflera opisałem wyżej, aktorzy miewali własne sposoby przygotowywania się do roli, albo ratowania się, jeśli czuli, że tracą wątek. Tak więc wielki Bolesław Leszczyński stukał palcem w cylinder, by zwrócić uwagę suflera. Andrzej Mielewski był nerwowy i kapryś-

ny. Potrafił wydawać przedziwne dźwięki, by sprowokować pomoc suflera, a potem pokasływał i syczał: „ciii...", żeby go uciszyć. Bywało, że uciszany Henryk Filipowicz się obrażał i ostentacyjnie zamykał egzemplarz. Wtedy grająca z mężem Alina Gryficz-Mielewska błagalnie składała dłonie, żeby jednak nie zostawiał ich samych. Marian Bielecki znany był z tego, że się uczył roli z kartek poprzyklejanych do ścian garderoby i kulis. Nie bez tego, by mu Mroziński tych kartek nie pomieszał. Czasem aktor, który się zgubił, wraca do raz powiedzianego tekstu, ale go ubiera w komentarz własnego pomysłu w rodzaju: „Jak ci już mówiłem..." Sufler wtedy dokładniej śledzi jego słowa i w krytycznym miejscu wprowadza go na właściwe tory. Umiejętność jest oczywiście ściśle związana z pamięcią suflera i jego znajomością tekstów. Stefan Heine znał wiele sztuk na pamięć. Kiedy więc przez pomyłkę zabrał na gościnne występy teatru egzemplarz niewłaściwej sztuki, nikomu o tym nie mówił, by nie speszyć, a suflerował z pamięci. Kazimierz Kamiński twierdził, że sufler powinien inteligentnie milczeć. A potwierdzenie tej prawdy znalazł w teatrze „Victoria", w niezbyt owocnej współpracy z pewnym suflerem — alkoholikiem.

— Jak tam dalej? — rzucił dyskretnie w stronę budki. Sufler pokazał mu rozanieloną twarz nasyconego opoja i krzyknął na cały głos:

— A zgadnij!...

Zważywszy wszystkie tu wymienione i nie wymienione cechy zawodu suflera, jest to zawód trudny. Toteż tuż po wojnie Leon Schiller omawiał z Henrykiem Filipowiczem możliwość utworzenia działu suflerowania w szkole aktorskiej. Ale do tego nie doszło. W związku ze zmianami, jakim uległ ten zawód, w związku z faktem wielokrotnego powtarzania tych samych sztuk, w związku z możliwościami technicznymi, które zastąpiły dawną budkę suflerską, dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie, Krasicki nazwał suflera „kontrolerem tekstu". W czasach kiedy na „smoczek" mówią „gryzaczek", kiedy „twaróg" nazywają „serem twarogowym", a „bydło" — „pogłowiem", można też suflera nazwać „kontrolerem tekstu" Brzmi to bardziej po polsku. To zaś kojarzy się z wydarzeniem którego tłem był Teatr Wielki. Dyrygował gościnnie pewien dyrygent zagraniczny, poliglota. W czasie próby powiada do inspicjenta:

— Panie Cybulski, niech pan poprosi pana Malczewskiego. I tego... jak to on się nazywa? No, wie pan, ten baryton... te wasze polskie nazwiska tak trudno zapamiętać...

— Heimberger?

— O właśnie, Heimbergera.

Cdn.

JESTEŚMY w KRAKOWIE

Parę lat temu ukazała się książka — przewodnik Jana Adamczewskiego pt. „Jesteśmy w Krakowie". Tytuł jest bedekerowy, ale zawartość posiada także inne walory. Raz jeszcze uświadamia, bardzo mocno i zdecydowanie, że „jesteśmy w Krakowie" całą naszą narodową kulturą, całą spuścizną literacką, architektoniczną, patriotyczną, że w ogóle my, Polacy, „jesteśmy w Krakowie" i bez Krakowa niemożliwe jest nasze istnienie.

Narzekają krakowianie na turystyczną „stonkę", która zadeptuje stare miasto, planty i Wawel. Ale nawet te pośpieszne i bez głowy nieraz gonione wycieczki po Krakowie zostawiają w pamięci młodszych i starszych turystów jakieś niezatarte ślady, jakieś wrażenia, lub choćby strzępy wrażeń, z których składa się owa świadomość naszej obecności w Krakowie. Obecności naszych dziejów.

Informacyjna zawartość książki Adamczewskiego z czasem traci wartość, zmieniają się ekspozycje muzealne, stare gmachy poddawane są remontom, otwiera się nowe sale... Wszystkie niemal muzea krakowskie są właściwie oddziałami Muzeum Narodowego, co sprawia, że eksponaty wędrują od jednego gmachu do drugiego — w ramach jednej wszakże instytucji.

Na przykład Zbiory Czartoryskich przy Pijarskiej 15 zostały przeniesione — z uwagi na remont budynku — do pomieszczeń po drugiej stronie ulicy. Ale nie wszystkie, po drodze gdzieś się zawieruszył (być może do konserwacji) namiot Wielkiego Wezyra, zdobyty przez Sobieskiego pod Wiedniem. Część zbrojowni ze Zbiorów Czartoryskich trafiła do Muzeum Historycznego przy ul. Świętego Jana, ale pozostały przy Pijarskiej narodowe relikwie i szabla Kościuszki i epolety księcia Józefa Poniatowskiego... Trzeba więc szukać, sprawdzać, nie zawsze znajdując.

Posługując się bedekerem można coś przeoczyć, ale nie przeoczy się najważniejszego. Tego mianowicie, że Kraków był i pozostał faktyczną stolicą polskiej tradycji historycznej, jej najstarszych epok, że pozostał kolebką narodowej kultury.

Dwa dni wędrowałem po wawelskim wzgórzu, na nowo zachwycając się jego pięknem. Ale w tej wędrówce odkrywałem również i to, że budując gdzie indziej atrapy, pozwalamy kruszeć murom liczącym kilkaset lat. Przy wejściu na Wawel od strony ulicy Podzamcze w murze widnieją granitowe cegiełki sprzed lat kilkudziesięciu. Trwały dokument społecznej akcji odbudowy Wawelu. Może by warto dziś przypomnieć tamtą akcję?

Wawel rocznie zwiedza dwa miliony turystów, i to bardzo dobrze, ale by Wawel nadal wytrzymał to tempo i to deptanie, trzeba by — ja wiem? — może stu milionów złotych rocznie.

Nie będą to pieniądze wyrzucone. Wawel jest symbolem Polski Piastów — Polski rozwijającej się — i Polski Jagiellonów — potęgi królewskiej i państwowej. Wawel jest sanktuarium narodowym i droga jest tu każda cegła i każdy kamień.

Zaledwie siedemdziesiąt lat temu, w 1905 roku, opuścili Wawel Austriacy, którzy ze złośliwą perfidią zainstalowali tu swoje... koszary wojskowe. W roku 1911 opuścili całe wzgórze, a ta słynąca z nędzy Galicja wybudować musiała im za miastem nowe koszary, co kosztowało miliony koron. Ale taka była cena odzyskania Wawelu i biedna Galicja tę cenę zapłaciła.

Hitlerowcy zrobili z Wawelu, z tą samą złośliwą perfidią, rezydencję swojego gubernatora. W Sali Senatorskiej zainstalowali kino, a w komnatach Kazimierza Wielkiego i Królowej Jadwigi — piwiarnię.

Już w 18 lat po wyzwoleniu, „dzięki hojnej pomocy państwa doprowadzono w roku 1963 odnowienie zamku do końca" — pisze Jan Adamczewski w swojej książce. Ale na Wawel wędrują wciąż nowe miliony turystów, przez komnaty królewskie, zbrojownię i skarbiec ciągną nie kończące się tłumy. Nawet teraz, zimą, w martwym sezonie turystycznym.

To dobrze, że „jesteśmy w Krakowie" także w martwym sezonie. Powinniśmy być tu obecni zawsze, tak jak Kraków zawsze był obecny w naszej kulturze i naszej historii.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH
EDWARD KOPCZYŃSKI

Rzecz jest niepokojąca,
Mierząc wysoko, ustrzelił zająca.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SZKIC DZIEJÓW PPS

Jeszcze niedawno brakowało w naszym historycznym piśmiennictwie syntetycznych, całościowych opracowań dziejów głównych polskich ruchów społeczno-politycznych czasów nowożytnych i najnowszych. Nikt oczywiście nie kwestionował ani naukowej, ani społecznej potrzeby powstawania tego rodzaju opracowań, jednakże bardzo niewielu było historyków, którzy się o nie kusili. Nie było to jednak spowodowane lenistwem badaczy, a wypływało raczej z poczucia odpowiedzialności za to, co piszą. Jakże bowiem kusić się o syntezę, kiedy brakowało monograficznych opracowań dziejów poszczególnych faz danego ruchu? Jakże pisać o całości, kiedy nie posiadaliśmy jeszcze pełnego rozeznania regionalnego zróżnicowania danego ruchu? Nie jestem zwolennikiem zbytniego hołdowania regionalizmowi, parcelującemu obraz całości na niepowiązane ze sobą części, nie mogę jednak nie zauważyć, że w naszej historiografii ruchów społeczno-politycznych zbyt często rozpatrywano dzieje wielkich partii politycznych przede wszystkim z perspektywy ich centralnych ośrodków kierowniczych, zapominając o tym, że w poszczególnych regionach kraju rzeczywistość mogła przedstawiać się znacznie inaczej, aniżeli wynikałoby to z działań i intencji ośrodka kierowniczego.

Przed przedwczesnym kuszeniem się o syntezę, powstrzymują historyków jeszcze inne względy. Niedawno jeden z naszych najwybitniejszych uczonych zwrócił uwagę na znamienny fakt, że mimo wszystkich nawoływań do zajmowania się historią najnowszą, dziejami całkiem jeszcze niedawnymi, poważnych badań historycznych z tego zakresu posiadamy nad wyraz mało, bodaj jeszcze mniej niż przed laty. Dlaczego tak się dzieje? Otóż istnieje ogromna trudność zobiektywizowania sądów o zagadnieniach, które wprawdzie należą już do przeszłości, przecież wiążą się najściślej ze współczesnością, z jej aktualnym politycznym i społecznym kształtem. Niezmiernie trudno jest zdobyć się na w pełni uzasadniony pod względem naukowym sąd o sprawach, które wciąż odczuwamy jako niezamknięte, niełatwo jest dotrzeć do odpowiednich źródeł, które owych otwartych zagadnień dotyczą. Im interesujący nas problem jest ważniejszy, tym i trudności jego adekwatnego zbadania większe.

Jerzy Holzer pokusił się o opracowanie zarysu dziejów jednej z najważniejszych partii politycznych naszej przeszłości — Polskiej Partii Socjalistycznej, partii działającej od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia do zjednoczenia z Polską Partią Robotniczą i utworzenia Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w 1948 r. Historyk zdawał sobie sprawę z trudności, jakie napotykało podjęcie tego rodzaju opracowania. Nie bez racji zauważył, że dzieje PPS aczkolwiek „stanowią dziś zamknięty rozdział historii Polski", spotykają się z „bardzo niejednolitymi" ocenami historyków, „zaś stosunkowo niedawno ocena PPS budziła jeszcze żywe namiętności polityczne". Nie działo się tak bez powodu, skoro partia ta „przechodziła różne koleje wydarzeń; na ogół daleka była od wewnętrznej jednolitości, występowało w niej wiele poglądów i postaw", o czym tak dobitnie zaświadczają jej dzieje w latach II Wojny Światowej oraz w pierwszych latach powojennych. J. Holzer zaakcentował, że wiele trudności przysporzyła mu okoliczność, „iż dotychczas nie opublikowano monografii o niektórych fragmentach dziejów PPS". Musiało się to odbić na nierównomierności w traktowaniu poszczególnych zagadnień, było to jednak, na obecnym etapie rozwoju badań, po prostu nieuniknione.

Gorąco zachęcam do przeczytania książeczki J. Holzera opatrzonej skromnym tytułem: „PPS — szkic dziejów", a ogłoszonej przez Wydawnictwo Wiedza Powszechna w ramach Biblioteki Wiedzy Współczesnej Omega (1977). Autor dostarczył w niej czytelnikowi sporego zasobu wiedzy o dziejach partii, która odgrywała istotną rolę w życiu naszego narodu i polskiej klasy robotniczej, która — jak pisze — „wnosiła w szeregi robotnicze świadomość narodową, pobudzała do działania w imię niepodległości Polski i demokracji, budziła poczucie odrębności robotników jako grupy społeczeństwa, mającej własne interesy klasowe, propagowała idee przebudowy społeczeństwa na zasadach socjalistycznych, przeciwstawiała się rozpowszechnianiu przez Narodową Demokrację i siły z niej się wywodzące ideologii nacjonalizmu". Historyk stara się rozważnie ocenić blaski i cienie dziejów partii, w której przez cały właściwie czas jej dziejów „toczył się spór między socjalistyczną prawicą, a socjalistyczną lewicą", spór zakończony dopiero w naszych, powojennych już czasach, w nowej rzeczywistości społecznej i politycznej. Przypatrzenie się dziejom PPS ułatwi zrozumienie wielkich dylematów polskiej lewicy społecznej zarówno w latach niewoli, jak w czasach II Rzeczypospolitej, w dobie wojny i okupacji, wreszcie tworzenia się podstaw Polski Ludowej. Ułatwi zrozumienie historycznego znaczenia dokonywanych wyborów, które doprowadziły w swym ostatecznym rezultacie do ideowego zbliżenia z komunistami oraz stopniowego ujednolicenia tak poglądów, jak i postaw, którego wyrazem będą słowa zawarte we wstępnej części statutu PZPR uchwalonego na Kongresie Zjednoczeniowym w 1948 r.: „Polska Zjednoczona Partia Robotnicza jest spadkobierczynią rewolucyjnych tradycji polskiego ruchu robotniczego, I Proletariatu, SDKPiL, KPP i lewicowego nurtu PPS".

ANDRZEJ F. GRABSKI

Brzuchy rosną!

Panowie powyżej czterdziestki mają dziś obwód w pasie większy o 4 cm niż tacy sami panowie przed dziesięciu laty. Oznacza to, że średnia obwodu brzucha męskiego rośnie u nas z roku na rok i nie wiadomo na razie, kiedy się ten proces zakończy. Przemysł odzieżowy już pracuje nad przygotowaniem nowych tablic „rozmiarowzrostów', które następnie będą musiały otrzymać aprobatę Komitetu Normalizacyjnego, a później uzyskać moc obowiązującą jako zarządzenia odpowiednich władz. Żeby Komitet Normalizacyjny mógł i chciał zająć się nową normą, musi ją mieć w planie pracy na dany rok. Plan sporządza się z rocznym wyprzedzeniem. Jeśli więc wszystko dobrze pójdzie — zakłady odzieżowe zostaną zobowiązane do produkcji według nowych średnich rozmiarów za jakieś 2—3 lata, kiedy brzuchy będą znów o parę centymetrów pokaźniejsze.

Przez ten czas leci z taśm produkcyjnych odzież według starych standardów i duża jej część będzie w sprzedaży jeszcze za kilka lat. Nie wystarczy wówczas zażądać w sklepie np. garnituru numer 104 na 176 sylwetka B. „Stare czy nowe?" — zapyta sprzedawczyni. „Jak to stare? Chcę nowy garnitur!" — odpowie naiwnie czterdziestolatek. — „Ale według numeracji starej czy nowej?"

Nie ma rady, trzeba zacząć operować w odniesieniu do konfekcji rocznikami produkcji, jak przy winie. Coś podobnego, to znaczy podobny antyporządek, mamy już przecież w obuwiu, gdzie prawie nikt nie orientuje się co to jest na przykład szóstka. „Szóstka angielska czy francuska?" — pyta niecierpliwie sprzedawczyni. „Polska" — odpowiadam. Ale kto z nas dwojga wie, że „szóstka" francuska to 36 sztychów, „szóstka" angielska to 6 cali, a „„szóstka" polska — to 26 centymetrów? A właściwie 27, bo 1 cm „zapasu" dodaje się na obrzmienie stopy przy wysokiej temperaturze, żeby buciki latem nie piekły. To jest miara metryczna, przyszłościowa, pomyślana jako norma międzynarodowa, tak jak metry i litry. Ba, kiedy ten metryczny numer „26" u nas to i tak co innego niż metryczny numer „26" w Czechosłowacji i w NRD. Aleśmy się dali zwariować! Gdybyście wiedzieli, jak to wygląda podczas rozmów z kontrahentami zagranicznymi!

Rośnie średnia wielkość brzucha męskiego i rośnie średni wzrost młodzieży. Chłopcy 20-letni są dziś przeciętnie wyżsi o 2 cm od swych rówieśników sprzed dziesięciu lat, dziewczęta o 1,5 cm. Znów należałoby zmieniać normy odzieżowe — i nie ma w tym nic niemożliwego, trzeba tylko zasadniczo zwiększyć elastyczność działania odnośnych instytutów i laboratoriów. Na częste listy czytelników w prasie, że nie mogą otrzymać obuwia o potrzebnej wielkości, przemysł skórzany od lat odpowiada, że pomiary antropometryczne polskich stóp są już na ukończeniu i jak tylko będą gotowe — podaż butów zostanie idealnie dostosowana do zapotrzebowania ludności. „Pomiary antropometryczne" stały się już od dawna legendą dla wszystkich, stykających się z tą sprawą. Robią się i robią. Oby nie stało się podobnie z odzieżą cięższą i lżejszą. Popularna projektantka mody — Barbara Hof i słynny przed kilkoma laty dyrektor warszawskich domów towarowych, Albin Kostrzewski, pisali kiedyś, że we Francji rozróżnia się tylko kilka „rozmiarowzrostów", ale za to prawie wszędzie i zawsze można je otrzymać i co najdziwniejsze — pasują one jak ulał do naszych rodzimych, nadwiślańskich sylwetek. Fantastyczne! Czyżby Francuzi prowadzili u nas kiedyś tajne pomiary antropologiczne? Czy może mniej teoretyzowali, mniej natworzyli uczonych instytutów, a więcej uwagi i zdrowego rozsądku poświęcili codziennym obserwacjom popytu?

Oprócz zmian w średnim wzroście naszej młodzieży obserwuje się też zmiany bardzo niepokojące: wzrasta liczba młodzieży z wadami postawy (w ciągu 10 lat — z 6,8 proc. do 8,1 proc.!), liczba młodzieży krótkowzrocznej i młodzieży o różnych upośledzeniach słuchu. Twierdzę uparcie, że mimo kilku wyższych uczelni wychowania fizycznego, mimo legionu magistrów skoku o tyczce i zwisu luźnego, nie ma wychowania fizycznego w szkołach podstawowych i średnich. Nie ma naszych dawnych „lekcji gimnastyki", ani ślizgawek, ani boisk przyszkolnych — po co zaraz do piłki nożnej? Niech będą do siatki i kosza. Niech młodzież naprawdę gra, a nie siedzi z wypiekami na twarzy przed telewizorem, gdy argentyński dzieciak losuje partnerów do rozgrywek w mistrzostwach świata.

ĆWIEK

DYREKTOR ZA SKLEPOWĄ LADĄ

W „Dzienniku Popularnym" przeczytałem wiadomość o tym, że za ladą 9 stoisk patronackich w „Centralu" stanęli dyrektorzy fabryk przemysłu lekkiego. Między innymi: „Sandry" z Aleksandrowa, „Weltomu" z Tomaszowa Mazowieckiego oraz łódzkich: „Wólczanki" „Olimpii", „Iwony" i „Very". W pierwszej chwili nawet mi się to podobało. Ale w pierwszej chwili najczęściej się nie myśli lub dopiero zaczyna się myśleć i wtedy człowiek sobie jeszcze tego i owego nie kojarzy. Jak zastanowi się i skojarzy to i pomysł „Centralu" nabiera innego znaczenia.

Nie mam nic przeciwko temu aby dyrektorzy fabryk przemysłu lekkiego chodzili do sklepów, a nawet aby stawali tam za ladą. Jeśli mają takie hobby, to ich sprawa. Obawiam się jednak, że robienie z tego systemu poznawania potrzeb handlu i klienta jest już poważnym nieporozumieniem. A w „Dzienniku Popularnym" czytam między innymi: **„Postanowiono że podobne spotkania organizowane będą dwa razy w roku — przed sezonem wiosenno-letnim i jesienno-zimowym".** Proponuję więc zlikwidować wszelkie giełdy branżowe oraz targi krajowe, a przynajmniej przyznać się że ten system kontaktów przemysłu z handlem jest do luftu. Zamiast wielkiej organizacji wręcz instytucji kontaktów przemysłu z handlem wystarczy, jak dyrektor pójdzie na kilka godzin do sklepu i porozmawia z klientami.

Czytam ja bowiem w „Dzienniku Popularnym", że dzięki wyprawie za sklepową ladę **„dyrektor zobaczył jak towar z jego fabryki ocenia kupujący i jakie są jego życzenia".** Przepraszam, a za co do tej pory brali pieniądze ludzie na przykład w „Sandrze" czy „Olimpii", których zadaniem były kontakty z handlem? I jak na przykład do tej pory wykorzystywano dla poznania potrzeb klienta stoiska patronackie? Tak rozumując można dojść do wniosku, że dyrektora trzeba będzie posadzić w ciężarówce, aby poznał kłopoty transportu, albo oddać jako niemowlę do żłobka, aby poznał panujące tam stosunki i zwyczaje. W ogóle dyrektor wychodzi na jedynego sprawiedliwego, kompetentnego i wszystko umiejącego. Tylko rodzi się wtedy pytanie: po kiego licha utrzymuje tak liczny personel administracyjny w fabryce?

Czytam ja dalej w „Dzienniku Popularnym", że **„klient miał okazję porozmawiać z najbardziej kompetentna osoba na temat proponowanych mu artykułów".** Czytam i nie wiem, czy mam śmiać się, czy płakać. Tym bardziej, że następne zdanie może doprowadzić człowieka już do bezdennej rozpaczy. A zdanie to brzmi: **„Z kolei sprzedawczynie i kierowniczki stoisk mogły potraktować ten dialog jako pierwszorzędna lekcję dobrej informacji".** Za jednym zamachem odmówiono bowiem kompetencji całemu personelowi fabryk patronującym stoiskom „Centralu", a także pracującemu tam personelowi handlowemu. Długo będę teraz się wahał nim pójdę kupić cokolwiek w „Centralu", chyba że poczekam, aż znów staną za ladą gwiazdy handlowo-informacyjno-kompetencyjne, które wszystko potrafią i którym w ogóle żaden personel nie jest potrzebny. Ale nie wiem, czy będę miał zaufanie do tych dyrektorskich „Zoś — Samoś".

Jak bowiem mogę mieć zaufanie do przedstawiciela kierownictwa „Wólczanki", który musi dopiero stanąć za ladą, aby dowiedzieć się, że **„trzeba więcej robić koszul w rozmiarach 39—40"** i że **„klienci chcą kupować koszule „safari", których wciąż jest za mało".** Albo do dyrektora „Sandry", który dopiero za ladą doszedł do wniosku, że trzeba koniecznie **„wprowadzić częstsze dostawy do detalu".** Jeśli bowiem nie potrafią tych informacji uzyskać przy pomocy swego personelu, to albo ten personel jest do niczego, albo pomylili się sami w wyborze zawodu i powinni wrócić za ladę, gdzie widać ich miejsce. Niedobrze bowiem jest kiedy dyrektor niczym król Kazimierz Wielki musi przebierać się za sprzedawcę, aby poznać prawdy, o których głośno w całym kraju.

Zawsze byłem i jestem przekonany, że posiadamy dostateczną ilość instytucji powołanych do sprawowania funkcji kontrolnych, tylko że te instytucje nie zawsze sprawnie funkcjonują i to z różnych powodów. Na przykład w agendach Państwowego Arbitrażu Gospodarczego w 1977 roku rozpatrywano 1.500 spraw związanych z produkcją wadliwych towarów i przeszło 1.000 spraw wynikłych z niedotrzymania umów przemysłu wobec handlu. Ale tych spraw mogłoby być znacznie więcej gdyby tym i owym nie było wygodniej udawać, że nie ma sprawy, gdyż wiadomo, że w sytuacji, kiedy podaż nie dorównuje popytowi handel jest zależny od producenta i musi brać to co mu tamten daje, aby w ogóle miał czym handlować. Nie jest to jedna przyczyna zadrażnień w styku handel — przemysł. Tych przyczyn jest więcej. Nie przypadkiem na przykład „Fako" otworzyły własny sklep, aby pokazać handlowcom jak się handluje. I jestem przekonany, że sytuacji tej nie zmienią wizyty dyrektorów fabryk w patronackich stoiskach. Trzeba bowiem sięgać przyczyn i je usuwać. A to jest trudniejsze niż pójście na wycieczkę za sklepową ladę. Tylko, że to jest niezbędne, jeśli manewr gospodarczy ma przynieść oczekiwane rezultaty i jeśli ten manewr traktuje się poważnie.

MARCIN RODAK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652-44 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, za strzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 275. I-2.